Nr. 25. Warszawa, dnia 10 (22) Czerwca 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka.* Uroczystość w Kiel. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* A. Świętochowski. Duchy. Część trzecia. Zwiastun (ciąg dalszy). — *Badania naukowe:* Socyo-antropologia, II, p. L. K. — *Literatura i sztuka.* Literatura włoska, p. L. W. — Literatura polska (dokończenie), p. J. T. Hodiego. — Przegląd teatralny, p. Stanisława Krzemińskiego. — *Życie społeczne.* Z Galicyi, p. Cho. — Pamiętnik.—W dali. — *Sprawy ekonomiczne.* — Doniesienia urzędowe.— Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

UROCZYSTOŚĆ W KIEL.

Rozpoczęta w r. 1887 wielka linia komunikacyjna wodna pomiędzy Bałtykiem a morzem Północnem jest już ukończona. D. 21 czerwca oddaje cesarz Wilhelm „Kanał morski północno-wschodni“ (Nord-Ost-See-Kanal) wszystkim narodom ziemi, aby z niego korzystały; wszystkie też państwa świata cywilizowanego na uroczystość otwarcia zaprosił. Wieki całe na nią czekały. Przez całe wieki do tej chwili, chcąc się dostać z morza Północnego na Bałtyckie, trzeba było okrążać Jutlandyę, przez niebezpieczny Skager Rak i gorszy od niego jeszcze Kategat, o którym staro-niemieckie przysłowie opiewało: „Dat Kategat makt dem Schippa den Hals natt.“ Naddawano drogi, i Neptunowi składano mimowolne ofiary.

Miasta hanzeatyckie, choć tak potężne, że np. Gdańsk w r. 1428 sam jeden wypowiedział wojnę Danii, przy ówczesnym stanie techniki, nie mogły zabrać się do przedłużenia Eidery ku Bałtykowi i połączenia zachodu ze wschodem za pomocą wielkiej linii wodnej. Później, w XVI w., Dania zagarnęła w zupełności Szlezwig i wrzynała się w Holsztyn i Ditmarsze, tak, że tylko ona jedna mogła o ustaleniu związku bezpośredniego między morzami pomyśleć, a właśnie w jej interesie leżało utrzymanie w swym monopolu żeglugi przez Skager Rak, Kattegat i Sund.

Przynosił jej ten monopol znaczne dochody i pozwalał przytem mieć statki cudzoziemskie na oku, na własnych swych wodach, a szczupłe środki państwowe i niski stan inżenieryi wytwarzały poważną już, nieprzezwyciężoną przeszkodę dla wielkiego dzieła, w tej chwili dopiero dokonanego. W r. 1756 miała Dania z t. z. „Sund-Zollu“ 200,000 Rigsdalerów *banco* dochodu rocznego, w r. 1853 — już 2,530,000. Dobrze jej było w starych porządkach; po co miała myśleć o nowych? Pomyślał Napoleon po usadowieniu się w Hamburgu i posunięciu do Holsztynii, chciał niezależnie od Eidery, już wówczas połączonej z morzem od wschodu, przeprowadzić kanał do Bałtyku, ale wojna zbyt go pochłaniała, aby się mógł oddać tej pracy pokoju.

Sprzykrzyły się wreszcie światu owe cła monopolistyczne, owe opłaty za gaszenie i zapalanie ognia w latarniach, za prawa ruchu i spoczynku na wodach duńskich, i pierwsze Stany Zjednoczone Ameryki północnej w r. 1848 zapowiedziały Danii, że nadal ciężarów tych ponosić nie będą. Zawiązały się układy między wszystkiemi państwami narodów handlowych i w r. 1857, d. 14 marca, stanął w Kopenhadze traktat, na mocy którego 15 państw zobowiązało się zapłacić 31,200,000 Rigsdalerów *banco:* najwięcej Anglia (10 milionów) i Rosya (9,700,000), najmniej Oldenburg — jakąś drobną kwotę.

Dręczących ceł już nie było, monopol skarbowy ustał, ale samo ukształtowanie lądów utrzymywało monopol komunikacyjny: pozostawała, jak przed wiekami, jedna tylko droga północna, przez wody duńskie. Względna niezamożność Danii, jako państwa, do dziś dnia utrzymałaby stan dawniejszy, gdyby nie wypadki polityczne i wojenne lat 1863—4. Dopiero oderwanie Szlezwigii i Holsztynii od korony duńskiej wytworzyło warunki przyjazne pod względem ekonomicznym, a tymczasem ogromny postęp wiedzy stosowanej zapewnił możność przełamania wszelkich trudności technicznych.

I Niemcy, objąwszy w posiadanie Holsztynię, nie odrazu pomyślały o kanale w wielkim stylu. Upłynęło lat 16 od założenia państwa niemieckiego, nim rząd uzyskał od sejmu prawo, zezwalające na budowę i obmyślające fundusze potrzebne. Budowę prowadzono przez lat osiem, z wielkiemi trudnościami, a przeprowadzono z niemałym tryumfem inżenierskiego rozumu. Kanał w system swój włączył i Eiderę, ale dążąc do Elby, nie mógł skorzystać z dolnego, głębszego i szerszego tamtej rzeki koryta i dwie trzecie całkowitej jego linii, od Holtenau w zatoce Kielu nad Bałtykiem, do Brunnsbüttel, w zatoce Elby nad morzem Północnem — jest czystem dziełem sztuki. Ogólna długość wynosi 99 kilometrów, przy głębokości 9-metrowej. Nowa droga na Bałtyk jest krótszą z Hamburga o 425 mil morskich i 42 godziny, z Londynu o 238 mil i 22½ godziny od dawniejszej.

Na uroczystość otwarcia kanału przybiły do portu w Kiel 53 okręty obcych mocarstw, a zebrały się w nim 24 niemieckie, prócz całej dywizyi torpedowców. Najwspanialej wystąpiła Anglia, bo przysłała aż 10 swoich olbrzymów. Udział Francyi, z trzema okrętami, nadał obchodowi zabarwienie polityczne odrazu, w pierwszej chwili po nadejściu zaproszenia do Paryża. Naród, mający ciągle jeszcze na ustach „la revanche,“ nie mógł spokojnie patrzeć na tę kameraderyę, w jaką, bądź co bądź, wejść musiał z Niemcami na uroczystości, urządzanej przez Wilhelma II.

Dnia 31 maja w senacie francuskim, d. 10 czerwca b. r. w Izbie, zniewolony był p.

Hannotaux, minister spraw zagranicznych, bronić i samego siebie i rządu przed opinią publiczną. Wyjaśnienie, dane bezpośrednim przedstawicielom narodu, zapowiedziało zaraz po uroczystościach kielskich akt, mający zupełnie jasno stanowisko Francyi w Kielu i po za Kielem wobec Niemiec określić i przynieść najlepsze usprawiedliwienie kroku, którym rząd francuski spełnia tylko akt grzeczności międzynarodowej. Zapowiedź ta, sama przez się ważna, zaostrza się jeszcze przez domniemania, ukazujące przymierze między Rosyą a Francyą jako ostatecznie, formalnie już zawarte.

Nacisk opinii publicznej we Francyi jest tak silny, że rząd musiał pozwolić na demonstracyę, w niedzielę d. 16 b. m., około pomnika Strassburga na placu Zgody, a admirałowi Ménard, dowodzącemu eskadrą odświętną, wydał instrukcye, zalecającą jak największą wstrzemięźliwość w objawach uczestnictwa i wspólności w wesołu i paradzie inauguracyjnej. Natomiast uwydatniono w Paryżu wspólność interesów z wielkiem mocarstwem północnem. Okręty francuskie spotkały się z cesarsko-rosyjskiemi w Bełcie Langeland (pomiędzy wyspą t. n. a wyspą Laland) i razem wpłynęły do portu w Kiel.

Admirał Ménard, jak Achilles, zamykający się w namiocie, od d 17 b. m. raz tylko wychylił się ze swego okrętu „Hoche," aby odwiedzić ks. Henryka Pruskiego, rezydującego w Kiel, a załoga francuska wcale pokładu nie opuści i do dnia 19 b. m. żadnego zaproszenia od siebie nie wydała i żadnego też nie przyjęła. Cesarz Wilhelm chciał większej słodyczy; połyka gorzką pigułkę. Powinien ją był przewidzieć. Obie strony mogły były dać pokój „międzynarodowej grzeczności" i trzymać się pozytywnej, realizmem swym nieubłaganej rzeczywistości.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Uroczystości w Kiel pochłaniają cesarza Wilhelma, całego jak jest, wstrzymują bieg spraw niemieckich, ale świat, mimo tych uroczystości, idzie dalej. Nowy wezyr nadesłał już przedstawicielom Rosyi, Anglii i Francyi nowe jakieś podstawy porozumienia się w sprawie armeńczyków; tylko nie wiadomo jeszcze — jakie, a ambasador francuski, Cambon, poufnie zawiadomił p. Courrie'go, ambasadora angielskiego, że jego rząd nie myśli współdziałać z Anglią, w razie, gdyby to mocarstwo zamarzyło o jakiejś egzekucyi wojennej przeciwko Turcyi. Samo to oświadczenie dowodzi już zmarnowania kapitału moralnego wpływu, jaki Disraeli zostawił swoim następcom w konwencyi o Cypr (dnia 4-go czerwca 1878 r.).

We Włoszech sejm się zebrał. Villa, wskazany przez samego Crispiego lecącej za nim większości na prezydenta Izby, zawiódł oczekiwania: do komisyi, sprawdzającej wybory, powołał czterech przewódców opozycyi, tak dzielnych, że im dwa razy liczniejsi stronnicy pierwszego ministra nie podołają. Crispi odgraża się, że go zwali, tylko choroba jego wstrzymała działanie. Choroba ta również opóźniła walkę z Cavalottim, który wyładował już swój kołczan strzałami — i czeka na ministra w Izbie, aby go niemi przyjąć.

Niestrudzony w ściganiu Crispiego deputowany medyolański zebrał nowe dowody winy pierwszego ministra, jako uczestnika w panaminie i w różnych niejasnych sprawkach prywaty, korzystającej z publicznego stanowiska. Życzyć mu potrzeba powodzenia w walce, jeśli dowody owe są poważne. Nawzajem Crispi naciera na Giolittiego i chce go gwałtem oddać sądom. Wszystko to przedstawia obraz nędzy: osobiste procesy zamieniane w funkcye państwa, w czyny rozumu stanu, w działania zmierzające do publicznego dobra. Co warte być może takie państwo, taki rozum stanu i takie dobro publiczne? Prawdziwie, samo ciśnie się na usta słowo: że niepodległość, zjednoczenie, wolność—zdemoralizowały włochów. Potrzeba im nowych ludzi, aby się z tego bagniska wydobyć mogli.

W Anglii parlament rozpoczął swe czynności jeszcze w przeszłym tygodniu, ale niewiele robi. P. Grey odpowiadał na interpelacyę o Ugandę i pobrzeże prowadzące z niej do morza. Gdyby nawet kompania wschodnio - afrykańska północna nie mogła się na swem terytoryum utrzymać, rząd musiałby je wziąć pod swą opiekę w interesie samej Ugandy, skąd już Anglia ruszać się nie myśli.

Na Kubie hiszpanom wiedzie się niedobrze. Bataliony odpływają, a powstańców nie ubywa. Ruch musiał zyskać zwolenników w masach ludności, bo szeregi ich rosną i znacznemi już występują gromadami. Bliskość Stanów Zjednoczonych wielce sprzyja powstaniu. Prezydent wielkiej Unii musiał wydać proklamacyę, wzywającą obywateli do szanowania praw neutralności. Odezwa nie przeszkodzi potajemnej pomocy. Dzięki jej, na północnem pomorzu wyspy powstanie płonie silnie. Maceo, którego już buletyny hiszpańskie przed miesiącem uśmierciły, okazał się żywym: zabrał cały pociąg z wojskiem. Podobno sam Martinez Campos raniony.

Na Madagaskarze francuzi posuwają się naprzód, ale zwolna. Dysenterya gorzej ich trapi od howajów, którzy dotychczas nigdzie nie dali nawet porządnego odporu najazdowi cudzoziemskiemu. O starciu przewidywanem u ujścia rzeki pobocznej do Betsiboki, dotychczas jeszcze nie doniesiono jako o fakcie już spełnionym.

W Przedlitawii reforma wyborcza i żądanie słowieńskiego gimnazyum w Cylei (Cilli), przyjęte przez rząd — sprowadziły upadek gabinetu Windischgratza. Dnia 20 miała zapaść decyzya cesarza, co zrobić z tem przesileniem.

P. Gołuchowski w delegacyi przedlitawskiej d. 17 b. powtórzył swoje wynurzenia, dane d. 10 delegatom węgierskim; poprosił przytem o cierpliwość i czas do rozejrzenia się, aby mógł powiedzieć coś więcej.

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 4.

Niespostrzeżony przez mówiących, zbliżył się do nich mężczyzna z krótkimi, kędzierzawymi włosami, od których odchylały się duże uszy, a z gęstego zarostu twarzy wyskakiwał hakowaty nos i małe, ruchliwe oczy.

Pirus.

Kobus, figlarz, który schował przed ludźmi prawdę i nie chce jej oddać... Jak się masz, wesoły filozofie! Skądże to?

Kobus

Z Cykady, miasta wielkich mędrców, którzy właśnie znaleźli ową prawdę i zawiązawszy sobie oczy, grają z nią w ślepą babkę, ale dotąd nie zdołali ani razu jej złapać. Znudziła mnie ta zabawa, więc dowiedziawszy się, że tu jest liczny zlot ładnych ptaków wędrownych, przyjechałem. Cieszę się, że spotykam cię, Pirusie, rówieśniku nieba i ziemi, w lepszem od nich zdrowiu, bo niebo ma gorączkę, a ziemia wymioty.

Pirus.

Co znowu?

Kobus.

Pod Cykadą wulkan zaczął wyrzucać lawę. Może uczuł nudności, nasłuchawszy się rozpraw w tamtejszej akademii. Czemuż to Satar tak strapiony?

Pirus.

Uciekł mu śliczny nos.

Kobus.

Ach, jaki ja widziałem nosek w kompletnym garniturze innych wdzięków! Gdyśmy dopływali do portu, przesunął się koło naszego okrętu jakiś statek, a na nim prześliczna młoda kobieta, sama śród niewolników.

Satar.

To ona, to ona!

Kobus.

Kto taki?

Pirus.

Żona jednego z możnowładców tutejszych.

Satar.

Czy wyrzeźbiłbyś jej nos?

Kobus.

Jedynem dłutem, którego umiem używać, jest język, a tem narzędziem, jak ci wiadomo, można tylko lizać marmur.

Satar.

Ale gdybym ci pokazał kopię tego nosa, dostrzegłbyś w czem jest wadliwa?

Kobus.

Nie mam takiej wprawy, gdyż kobietom wogóle przypatrywałem się mało i dotąd nie wiem, na co im natura dała głowy, a cóż dopiero nosy.

Satar.

Jakiż z ciebie barbarzyniec! Widziałem nawet raz wołu, który oglądał z zadowoleniem posąg pasterki gwiazd, a ty...

Kobus.

To dowodzi jedynie, że ja nie jestem wołem. Ale niech cię ta okoliczność nie zniechęca do mnie, kochany Satarze, bo można posiadać jakąś wartość, nie będąc w żadnem pokrewieństwie z tem zacnem zwierzęciem. Więc ciągle żyjesz zatopiony w ładnych nosach, uszach, nogach?

Satar.

Przestań na chwilę drwić i powiedz szczerze, czy znasz coś wyższego nad piękno?

Kobus.

Owszem, znam — dojrzałą figę.

Pirus.

Ha, ha, ha! Kłóćcie się, kogutki, ja taką walkę bardzo lubię.

BADANIA NAUKOWE.

„SOCYO-ANTROPOLOGIA."

II.

Otton Ammon, za przykładem innych darwinistów, potrącających o sferę zjawisk społecznych, uważa narody za szczególnego rodzaju organizmy, które, podobnie jak wszelki gatunek jestestw, wytworzyły swój ustrój w walce o byt i drogą żywiołowego, nieświadomego rozwoju przystosowały się do warunków życia. Jak organy pojedynczego zwierzęcia, oraz jego instynkty, są ukształtowane zgodnie z wymaganiami otoczenia, tak samo wszystkie instytucye społeczne, a zatem formy własności i przepisy prawa, przykazania religii i przesądy, wreszcie hierarchia społeczna, bogactwo jednych i nędza drugich, stanowią narzędzia, zwolna wypracowane w ciągu wieków przez rozwój społeczny i najlepiej odpowiadające rzeczywistym potrzebom całości narodowej. Umysłowi nieoświeconemu i nieprzenikliwemu (tj. inaczej myślącemu, niż uczony niemiecki), może się wydawać, iż to lub owo urządzenie jest krzywdzące lub wadliwe. Ale będzie to pogląd w większości wypadków błędny; przyroda bowiem zna tylko niedokładność względną. To, co od wieków istnieje i umiało opierać się wszystko niszczącemu zębowi czasu, tem samem dowiodło swojej nietylko trwałości, lecz także pożyteczności i nieodzowności. Pomiędzy instytucyami społecznemi jest zwłaszcza jedna, która datuje się od najpierwszych dziejów gromady ludzkiej i mimo przewrotów pozostała niepożytą, mianowicie zróżniczkowanie narodu pod względem duchowej natury jego członków, występujące na jaw jako niejednakowe skłonności i odmienne uzdolnienia. Gdzie zaś istnieje tego rodzaju różnorodność, tam, naturalnym tokiem zależności, winniśmy z góry oczekiwać, że pojedyncze osobniki będą zajmowały odmienne stanowiska i spełniały inne czynności. Cały dotychczasowy rozwój życia gromadnego na globie ziemskim zmierzał w tym kierunku. Już na bardzo nizkich szczeblach inteligencyi walka o byt zmusiła gatunki do zjednoczenia się w gromady. Powstały wędrówki śledzi i szarańczy, w których oddzielny okaz gatunku posiada zwiększone widoki utrzymania się przy życiu. Ale zróżniczkowania duchowego tam jeszcze nie ma. Na wyższym poziomie uspołecznienia gromada staje się nie tak jednolitą: zjawiają się różne czynności, ale sami członkowie danej grupy społecznej jeszcze nie różnią się duchowo jeden od drugiego. Wreszcie jestestwo duchowe zaczyna podlegać zróżniczkowaniu, występują w gromadzie zdolni i tępi, ślamazarni i energiczni. Jednocześnie, z samej natury rzeczy, ukazuje się hierarchia w życiu społecznem, oparta właśnie na tym fakcie rozmaitości uzdolnień. Na czele gromady, w roli kierownika, staje dobór energii i inteligencyi, pod nim na drabinie stanowisk rozmieszczają się przedstawiciele niższego poziomu umysłowości. Powstają w narodzie klasy. Istniały one, zdaniem Ammona, zawsze w przeszłości i będą istniały nadal, bo stanowią nieodzowne następstwo zróżniczkowania duchowego. A ponieważ to zróżniczkowanie dojrzało w ciągu wieków w walce o byt, jako narzędzie rozwoju postępowego, przeto hierarchia klasowa była, jest i będzie nieodłączną od każdego ustroju cywilizowanego, zwłaszcza posiadającego przyszłość przed sobą. Fałsz to — powiada autor — ażeby jakaś część narodu istniała dla innej. Nie! Inteligencya i hołota, plutokracya i ludzie pracy, wszyscy pospołu stanowią całość spójną a organiczną. Ich wzajemne sprzężenie to nieodzowny warunek normalnego bytu społecznego, wcielony w życie przez żywiołowo działającą przyrodę i nakazany przez nią.

Tylko te ustroje społeczne wychodzą zwycięzko z walki o byt, u których w górze hierarchii znalazły się najdzielniejsze żywioły antropologiczne. Ale osobniki uzdolnione rodzą się na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, ponieważ wszędzie może dojść do skutku połączenie wymaganych cech u rodziców. Muszą więc istnieć w każdem rozwijającem się społeczeństwie takie stosunki, któreby umożliwiały odpowiednim żywiołom bezustanne wydobywanie się na wierzch życia społecznego, co większa, któreby dokonywały w rzeszy ludzkiej stosownego doboru. Egzaminy stanowią między innemi jedno z urządzeń, nie dopuszczających niezdolnych do zajęcia stanowisk przodujących, policya i sądownictwo usuwają z narodu okazy liche i niepotrzebne. Może nie zawsze — powiada Ammon — działalność tego rodzaju instytucyi jest bez zarzutu, ale w ogólnym rezultacie wpływ ich bywa dodatni, tj. osiągają one cel, dla którego zostały stworzone przez przyrodę. Pisarz niemiecki usiłuje dowieść, na podstawie statystyki, że dobory żywiołowe, odbywające się w społeczeństwie, prowadzą właśnie do takiego a nie innego wyniku. Bierze tablice rozmieszczenia uzdolnień, znalezione przez Galtona, w takiż sposób rozkłada także dochody obywateli Saksonii. Krzywe, przedstawiające graficznie oba te zjawiska, posiadają postać podobną — dodajmy, że Ammon nie omieszkał użyć pewnych fortelów, ażeby uczynić je jeszcze podobniejszemi, niż są w rzeczywistości. Na zasadzie otrzymanej równoległości, wyciąga on dalsze wnioski, mianowicie, że w Saksonii większe dochody i wyższe zdolności duchowe zawsze sobie nawzajem towarzyszą: pobierający wyższe „zarobki" są zdolniejsi, znajdujący się zaś na samym dole hierarchii umysłowej muszą poprzestawać na odpowiednio nizkiem utrzymaniu. Autor bez miłosierdzia nalega fakty, ale niejednego z tych, którzy pragną być przekonani, przekona, iż akurat najdzielniejsze żywioły, i to skutkiem swych właściwości antropologicznych, zajęły w narodzie stanowisko przodujące. Wydobyły się one z nizin społecznych tylko dzięki swojej inteligencyi i sprężystości. Ale takie wypływanie odbywa się ustawicznie w każdem społeczeństwie, opartem na wolnej konkurencyi i regulującem ów potok wstępujący za pomocą egzaminów, konkursów i innych dyplomów. I znowu otrzymujemy na to wiązankę dowodów. Uczony niemiecki zatrzymuje się nad Karlsruhe. Przytacza on cyfry, że z pośród przybyszów 82% ogólnej ilości należy do niższej warstwy ludności miejskiej, tymczasem z pośród synów tylko 41%, wnuków zaś—40%. Przeciwnie, na warstwę średnią w pierwszem pokoleniu przybyszów przypada 14%, w drugiem 49%. Wreszcie w szkołach tamta posiada tylko 4% przedstawicieli, ostatnia 10%, wnukowie wreszcie 25%. Cyfry te mają nas przekonać, iż potok emigracyjny, przybywający do miast, podnosi się z pokolenia do pokolenia coraz wyżej w hierarchii społecznej. Natomiast z drugiej strony warstwy wyższe, będące zbio-

---

Kobus.

Nie patrz, kochany Satarze, na mnie ze wzgardą, bo mój rozum nie lękliwy. Widzisz, przyjacielu, dojrzała figa jest to dla wszystkich ludzi dojrzała figa — słodka, soczysta, pożywna. Piękno zaś jest to albo nic, albo coś, co może być również brzydkiem. Żaden człowiek nie nazwie dojrzałej figi narownym koniem, natomiast ty sam niejedną ubóstwianą przez kogoś kochankę nazwiesz czarownicą.

Satar.

Jednakże i ty, jak ja, uznałeś za piękną tę kobietę, którą widziałeś na morzu.

Kobus.

Przypuszczam, że znalazłoby się wiele takich, ale sprowadziłbym ci cały lud, mieszkający niedaleko Cykady, który oświadczyłby, że ona jest brzydka, bo nie ma ciemnej twarzy i spiłowanych spiczasto zębów.

Satar.

Więc piękno nie istnieje?

Kobus.

Rozumie się, że nic, istnieją tylko pewne przedmioty, które przez pewnych ludzi w pewnych warunkach ich życia uważane są za piękne.

Satar.

I prawd powszechnych nie ma?

Kobus.

Naturalnie, tak samo, jak nie ma powszechnych żon. Każdy człowiek posiada własną żonę i własną prawdę, z którą czasowo lub stale żyje, którą nagina do swej woli i potrzeb, z którą ma dzieci, chrzczone imionami zasad, pewników itd. Ta tylko zachodzi różnica, że mężowie nie lubią, ażeby się kochano w ich żonach, ale bardzo pragną, ażeby się kochano w ich prawdach.

Satar.

Mnie się zdaje, że ty masz liczny harem tych... prawd.

Kobus.

I wszystkim, jak wogóle kobietom, nie wierzę. Według mnie, daleko większy wstyd twierdzić, że coś się wie niewątpliwie, niż że się nic nie wie. Pierwsze bowiem okazuje zuchwałego głupca, drugie—skromnego mędrca. Wolę przez całe życie szukać i nigdy nie znaleźć boga, niż złapawszy krokodyla, wrzeszczeć, że trzymam za ogon stwórcę świata.

Satar.

Czy ta trzęsionka słów nazywa się także filozofią?

Kobus.

Jedź do Cykady, dostaniesz lepszej. Tam co łysa głowa, to filozof, a każdy chodzi z kramikiem wszechwiedzy, z którego za tanie pieniądze sprzedaje niewzruszone prawdy. Jeden przysięga, że świat powstał z ognia, drugi—że z wody, trzeci — że z kichnięcia boskiego, czwarty — że z kaszlu itd. Jeden radzi się tuczyć, drugi — zachudzać, trzeci — śmiać, czwarty — płakać, a piąty zaleca patrzeć się ustawicznie w swój pępek, z którego mają płynąć najcenniejsze myśli. Ciemny tłum, w którego można wmówić, że powinien malin używać jako spinek, a rubiny zjadać, wszystko przyjmuje z równem zadowoleniem. Pewnego dnia dla żartu zacząłem uczyć, że szare chmury są to zabrudzone ubrania bogów, które ich służąca pierze, a wylewszy na ziemię wodę deszczem, rozwiesza je potem na niebie, jako czysto białe obłoki. W kilka dni miałem już liczny zastęp uczniów, a jeden z kapłanów zaproponował mi do współki zbudowanie świątyni dla owej praczki. Zastrzegł tylko, że ze względu przyzwoitości nie należy utrzymywać, jakoby bogowie podczas tego prania siedzieli w niebie nadzy, lecz mają na zmianę drugą odzież.

Satar.

I może zgodziłeś się?

Kobus.

Nie, bo by mnie ta komedya nudziła.

Satar.

Tylko dlatego?

Kobus.

Czyż nie dostateczny powód?

rem żywiołów najdzielniejszych, w mieście szybko wymierają. Potomkowie przybyszów zajmują więc miejsce po nich opróżnione, ażeby z pośród siebie wytworzyć nową arystokracyę, która znowu z biegiem czasu zmarnieje i wymrze, pozostawiając po sobie próżnię. I tak będzie zawsze. Śmietanka inteligencyi narodowej będzie wymierała, bo musi wymierać w następstwie nadmiernego wysiłku nerwowego, nienormalnego naprężenia działalności czysto umysłowej, zmniejszonej płodności i upadku zdrowia. Na to nie ma rady. Tylko o jedno trzeba się starać, mianowicie ażeby nie zabrakło owego dolnego pokładu, z którego bezustannie wydobywają się nowe pierwiastki, zastępujące miejsca dawnych przodowników społeczeństwa i z kolei prowadzące je po nowych drogach. Są to włościanie, jedyna grupa, żyjąca w zdrowych warunkach, posiadająca podostatkiem powietrza i słońca, zasobna w zdrowie fizyczne i odznaczająca się płodnością, zapełniająca luki, które tworzą się w organizacyi narodu.

Ale czy wydostawanie się dzielniejszych pierwiastków antropologicznych z nizin społecznych nie może się odbywać w warunkach innych i czy nieodzownie dla swego przebiegu wymaga istnienia hierarchii klasowej? Ammon odpowiada na to twierdząco, zresztą napisał swą książkę tylko po to, ażeby bronić takiego założenia, które w umyśle jego istniało już przed faktami. Ale przyjrzyjmy się jego rozumowaniu. „Istnieje więc — tym razem przytaczamy dosłownie—pewna przyrodzona instytucya w społeczeństwie, która spełnia to zadanie, że osoby, odpowiadające sobie uzdolnieniami, kojarzą się w związku małżeńskim pomiędzy sobą częściej, aniżeliby to się działo bez owego urządzenia. Instytucya ta przedstawia rzecz najciekawszą, jaką stworzył rozwój społeczny. Istnieje ona tylko wśród szczepu ludzkiego—wszędzie, nawet na najniższym (!) szczeblu, chociaż w mierze niedoskonałej, a polega na tem, że wyższe warstwy narodu zostały wyodrębnione od reszty współziomków." Dzięki temu mądremu dziełu przyrody społecznej, powstrzymano powszechne mieszanie się małżeńskie uzdolnień, tem samem umożliwiono zjawianie się większej liczby uzdolnionych osobników, niż to wypływałoby z prostej, swobodnej kombinacyi rzutów Galtona. „Wyobraźmy sobie, powiada Ammon, naród, składający się z miliona obywateli płci męzkiej, oraz z miliona kobiet. Wyobraźmy sobie dalej, że pomiędzy obu płciami znajduje się tylko jeden mężczyzna i jedna kobieta, przedstawiająca w swojem jestestwie duchowem pierwiastki genialności. Gdyby ustrój społeczny polegał na tem, iż żadne względy nie ograniczałyby dokonywanego wyboru małżeńskiego prócz pociągu płciowego, i gdyby czyjeś oko mogło spocząć na kimkolwiek z miliona przedstawicieli płci drugiej, wtedy genialny mężczyzna posiadałby tylko jedno-milionowe prawdopodobieństwo połączenia się związkiem małżeńskim ze stosownie uzdolnioną kobietą i niezmarnowania zasobu dzielności antropologicznej, tkwiącej w jego naturze. W społeczeństwie klasowem, takie roztrwonienie kapitału umysłowego — ciągnie autor — jest wprost niemożliwem. Jednostki najzdolniejsze znajdują się tam w liczbie członków klasy przodującej, i dzięki przesądom, tylko wyjątkowo popełniają mezalians przez poślubianie kogoś z warstwy niższej. Dajmy na to, że obie owe osoby z zarodkami genialności należą do klasy uprzywilejowanej, co jest najprawdopobniejszem; że w dalszym ciągu każda z nich może poślubić tylko kogoś z pośród 250 członków, składających warstwę najwyższą. Wtedy prawdopodobieństwo skojarzenia małżeńskiego odpowiednio napiętych uzdolnień będzie już tylko $^{1}/_{250}$, tj. podniosło się w porównaniu z poprzedniem cztery tysiące razy." Ten przykład dostatecznie uwydatnia myśl Ammona. Korzyści, wypływające z istnienia w społeczeństwie klasy uprzywilejowanej, zawierającej w sobie zawsze śmietankę inteligencyi, nie ograniczają się jedynie do powściągnięcia powszechnej mieszaniny i do zwiększenia widoków przyjścia na świat talentów. Instytucya ta bowiem działa w tym samym kierunku jeszcze za pomocą innych środków. Przesądy klasowe i różnice majątkowe pociągają za sobą poddanie potomstwa warstwy zamożnej troskliwszemu wychowaniu, rozwijającemu tkwiące w niem uzdolnienia. Lepszy pokarm i wogóle dogodniejsze warunki sprzyjają podniesieniu dzielności wrodzonej. Nie dość tego. Uprzywilejowane stanowisko, na jakiem najczęściej rodzą się najzdolniejsi, od dzieciństwa ułatwia im walkę o byt i oszczędza marnotrawienie sił na zdobycie środków wybicia się na wierzch. Odrazu znajdują się oni w położeniu korzystnem i im samym nie pozostaje nic innego, jeno rozwinąć zawczasu a w pełni wszystkie siły swojej bogatej pod względem duchowym jaźni. Ammon naturalnie poparł to znowu „dowodami." Każdy czystej krwi narodowo-liberalny pruski ma zawsze na myśli księcia Żelaznego i, rozumie się, autor ten równie nie pominął skorzystania z nadarzającej się okazyi złożenia hołdu. Co byłoby więc z Bismarckiem, gdyby przyszedł na świat w ubogiej lepiance wiejskiej lub na poddaszu? Zmarnotrawiłby swoje siły fizyczne, zanim zdołałby zdobyć stanowisko, na którem tyle zasłużył się *Vaterlandowi*. Wykazawszy zaś, iż bez hierarchii Bismarck nie zostałby Bismarckiem, Ammon uważa sprawę za rozstrzygniętą.

Tak wygląda część naukowa jego wywodów. Słusznem w nich jest założenie zasadnicze, mianowicie że każdy naród składa się z osobników, bardzo odmiennie uposażonych pod względem umysłowym i wogóle duchowym. Ale już dalsze punkty wytyczne mijają się z rzeczywistością. Ponieważ nie chodzi nam o krytykę poglądów autora *Antropo-socyologii*, bo to za wiele zająłby miejsca, ale tylko o przedstawienie ogólnej treści jego książki, przeto poprzestaniemy na tej luźnej wzmiance o wartości jego rozumowań. Dodać winniśmy jeszcze, że Ammon, wyłożywszy czytelnikowi teoryę społeczeństwa z „antropologicznego" punktu widzenia, przechodzi do nakreślenia programu działalności praktycznej, która oddziaływałaby na ustrój społeczny zgodnie z jego założeniami. Łatwo przewidzieć, jak brzmią te rady. Stanowią one przekład na język antropologiczny partyjnego programu narodowo-liberałów w Niemczech. Spotykamy tam wszystkie ich życzenia, nawet obecne napaści na istniejącą ustawę wyborczą. Uległy tylko powierzchownej zmianie, bo nadano im postać nie dążności partyjnych, ale naukową: są niby wynikami ścisłej wiedzy. Tak, naukę też zaprzęgają do celów, nic wspólnego nie mających z jej istotą!

L. K.

Satar.

Myślałem, że cię powstrzymała również uczciwość...

Kobus.

Zapewne, mój Satarze, ostrożny człowiek nie włazi w gęste krzaki nietylko z obawy, że może w nich spotkać tygrysa, ale też, że może nadeptać zgniłą bedłkę.

Satar.

Jest nią, według ciebie, cnota?

Kobus.

Ach, cnota! I tej mocnej liny, która ma krępować nawet olbrzymów, szukałem i znalazłem pasma babiego lata, które lata z wiatrem po świecie, czepia się wszystkiego, ale nie posiada żadnej siły.

Satar

Teraz rozumiem, że możesz jako obrońca wygrywać najgorsze sprawy, jeżeli w ten sposób mącisz sumienie sędziów.

Kobus.

Naśladuję ciebie, który mącisz wodę w łaźni bogów.

Satar.

Ja?

Kobus.

Zdziwiłeś się, bo ta łaźnia nie istnieje? Otóż i ja się dziwię, bo to sumienie także nie istnieje.

Satar.

Bądź szczery, dodaj, że i bogów nie ma.

Kobus.

Nie mogę o tem rozprawiać z człowiekiem, który ich wyrabia. Kochany Satarze, dajmy pokój filozofii, która nie jest jeszcze twoją mamką, a która już dawno jest moją matką. Lepiej mówmy o przedmiotach, na których oba się znamy. Powiedz mi, co tu przyjechało ładnego, wesołego, bogatego?

Satar.

Jest tu ładna suka do tropienia przepiórek, jest wesoła małpa, która rzuca w przechodniów orzechami i jest bogaty osioł, który spaceruje ze złotym dzwonkiem. Bądź zdrów.

Trzęsąc swą wielką głową, odszedł wzburzony.

Kobus.

Czy on chodzi ze złotym dzwonkiem?

Pirus.

Ubawiłem się, szczerze ubawiłem. Schwycił biedak iskrę, jak hubka, i zapalił się, a tyś w niego tak mocno dmuchnął. Żal mi go. Dobry to mazgaj, tylko niepotrzebnie zgęszcza powietrze swemi westchnieniami. Rzeźbiarz jednak genialny...

Kobus.

Po co takie istoty na świecie żyją? Ażeby gorzej robiły to, co natura robi lepiej? Przecie on nigdy nie stworzy z marmuru takiego jagnięcia, jakie stworzy baran, chociaż go nikt nie nazywa genialnym i nie wieńczy wawrzynem. Dziwne są te sławy ludzkie! W Protoryi grasuje jakiś pasterz owiec, który przebiega kraj, ucząc, że młodzieńcy powinni kochać stare baby, a panowie — niewolników. I ciągną za nim tłumy, które zachwycają się swym mistrzem.

Pirus.

Chyba waryaci.

Kobus.

Mój niewolnik, który stamtąd niedawno wrócił, objaśnia to prosto: Czy podobna — mówi — ażeby bogowie, fabrykując codziennie tylu ludzi, nie pomylili się i nie włożyli w jedną głowę dwu rozumów, a w inną — żadnego?

Pirus

A ja czuję, że zapomniałem w swój żołądek włożyć śniadania. Dość już świeżego powietrza, trzeba się posilić. Do widzenia się, Kobusie... Patrz, patrz, jak ku nam sunie naiwna sarenka... Czy jej mąż może być spokojnym, jeśli ja, pomimo zasłony na jej twarzy, poznaję ją z daleka po rzutach bioder? Jest to Jala... żona Krotosa... smaczna kobietka, ale ja teraz wolę połówkę winną... Nie złapiesz mnie, kusicielko! Później... później.

(D. c. n.).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Stosunki Petrarki i Boccaccia. — Fr. Corrazzini: *Le lettere edite ed inedite di messer Giovanni Boccaccio.*

Boccaccio był synem naturalnym zamożnego kupca, który zmuszał go do ślęczenia nad buchhalteryą i prawem. Powołanie ciągnęło go w inną zupełnie stronę: ku poezyi i sztuce. Był to charakter niestały, podejrzliwy, namiętny, ale w gruncie rzeczy dobry. Neapol, gdzie spędził młodość, przedstawiał wówczas swym dworem francuskim wszystko, co cywilizacya miała najbardziej wyszukanego, ale zarazem najbardziej rozwiązłego; zachowały się jeszcze wspomnienia tego księcia nawpół arabskiego, nawpół niemieckiego, Fryderyka II, który był przyjacielem nauki i tajemnic wschodnich i pozostawił w wyobraźni ludu legendę dziwnych i fantastycznych orgii. Za czasów Boccaccia znajdujemy w Neapolu króla Roberta Mądrego; nawiązuje on tradycye popierania literatury i sztuki. Spotkały się tu resztki starożytnego hellenizmu z poezyą prowansalską, zajętą nadaniem miłości form artystycznych. Z drugiej strony przeniknęły do Neapolu wpływy świeżo wskrzeszonej w północnych Włoszech sztuki — malarstwa i rzeźby: król Robert sprowadził Giotta, który zdobił mu pałac scenami z *Komedyi Boskiej*. Dante napełniał już wówczas całe Włochy swoją sławą. Jego wiersze można było często usłyszeć w ustach prostego ludu, na ulicach zarówno Neapolu, jak Florencyi. Dodajmy nareszcie, iż ze sztuką starożytną wskrzeszoną została i filozofia. „Armia epikurejczyków jest niezliczona — mówił jeden ze współczesnych— można ich liczyć nie na setki tysięcy, lecz na miliony." Powoływano się nietylko na Epikura, lecz i na Arystotelesa, a głównie na Averroesa. Studya klasyczne były wówczas, jeżeli nie równoznaczne, to przynajmniej, uważane za równoznaczne z bezbożnością.

W takiej atmosferze wyrósł Boccaccio, i wszystkie te wpływy odnaleźć można w pierwszych jego utworach. Dante był dla niego „pierwszym przewodnikiem, pierwszem światłem." Romanse prowansalskie pozostawiły na nim ślad niezatarty, a obok studyów nad literaturą starożytną, zajmował się także naukami przyrodzonemi, o ile one wówczas były uprawiane: geometryą i kosmografią. Zdaniem, które było panujące wtedy, poeta powinien mieć wiedzę wszechstronną. Uważał jednak, iż brakło mu jeszcze miłości ku damie wysoko postawionej i szlachetnej, ażeby być istotnym poetą. Zakochał się więc w Maryi d'Aquino, córce naturalnej króla Roberta, sposobem tradycyjnym, w Wielki Piątek, za pierwszem spojrzeniem, w r. 1334. Taki był zwyczaj, przyjęty w świecie poetów. Szczerość tego uczucia jest mocno podejrzaną, również jak i przechwałki ze względów, jakimi dama jego serca miała go darzyć. W każdym razie pisał dla niej wiersze, wprowadzał ją pod pięknem imieniem Fiammetty do swych opowieści. Są to pamiętniki młodej i czarującej literatury. Jego „Wizya miłosna" i „Ameto" przypominają alegorye mitologiczne malarzów z początków Odrodzenia: freski Benozza Gozzolego lub obrazy Montegni.

Ten sam charakter, z coraz większem wyzwoleniem się z pod wszelkiego formalizmu, znajdujemy w dziełach późniejszych Boccaccia: w „Fiammecie" i w „Dekameronie," które tryskają strugami prawdy życiowej. Jestto zupełnie nowa realistyczna sztuka, która wyłoniła się z tylu czynników różnorodnych i często sprzecznych.

O znaczeniu Boccaccia w historyi literatury można sądzić z tego, że wpływ jego widać później u Chaucera, Hansa Sachsa, Lope de Vegi, Shakespeare'a, La Fontaine'a, Musseta, u wszystkich wogóle realistów. Co się tyczy często wyrzucanej mu sprosności i grubiaństwa, to posłuchajmy, co o nich powiada Petrarka, gdy po 25 latach życia ascetycznego poznał *Dekamarona*: „Czytałem z przyjemnością, a jeżeli wpadasz czasami w swobodę zbyt rozwiązłą, wybaczam ci przez wzgląd na wiek, który miałeś, gdyś pisał, i na język ludowy, którego używałeś." Trzeba dodać, iż Boccaccio miał gotowe opowieści, do których musiał się przystosować, i że publiczność czytająca miała właśnie taki smak niewybredny.

Nie myślał jednak wcale o żadnej tendencyi niemoralnej, ani też niereligijnej. Nie był on głosicielem ani reformy, ani wolnej myśli. Zamiłowanie do filozofii starożytnej nie naruszyło jego katolicyzmu. Pod tym względem jest on podobny do Petrarki, ale za to w innych dziedzinach ile różnic!

Carducci pierwszy puścił w obieg zdanie, iż Petrarca to ludzkie „ja," które po raz pierwszy się utwierdza wobec teologii i feudalizmu. Jest w tem wiele prawdy, ale trzeba ją brać z zastrzeżeniem. Nie zapominajmy mianowicie, iż poeta żył lat 70 i w tym okresie czasu był na przemiany kochankiem i księdzem, dworakiem i ascetą, republikaninem i monarchistą, trubadurem i bibliofilem. Wszystkie te sprzeczności mogą tylko poniekąd być pogodzone określeniem indywidualisty.

W młodości był potrosze strojnisiem, dbałym o elegancyę i powodzenie u dam. Natomiast uczył się źle. Galanterya i miłość zaprzątały go całkowicie aż do 33 lat. Od tego czasu zmienił się nie do poznania. Jest to pustelnik, spędzający samotne życie w towarzystwie psa, zdala od towarzystwa, od wszelkich więzów społecznych. Gdziekolwiek go losy zaniosły, nawet na dwory książęce, czuł się zawsze samotny, zawsze na uboczu. Jego umysł był wciąż zajęty książkami; jedyną rozrywką była dla niego myśl o Laurze. Dni całe spędzał z Liwiuszem, Wirgiliuszem, Cyceronem; pracował nawet nocą. „Będziemy mieli czas odpoczywać — mawiał — gdy pomrzemy." Główną cechą w fizyognomii poety humanisty jest zamiłowanie do tekstów starożytnych. Podróżował życie całe dla odgrzebania nowych. Był jednym ze znaczniejszych uczonych XIV w., historykiem, geografem, antykwaryuszem i we wszystkich dziedzinach niezmordowaną pracą wyprzedzał i przygotowywał Odrodzenie. Nietylko zresztą jako humanista, ale zarazem jako chrześcianin: był człowiekiem nadzwyczaj religijnym, ale nienawidził papieżów, skutkiem rozwiązłości, która panowała na ich dworach. Poeta walczył przeciw nim z wielką dumą i zapalczywością, ale nie zatrącał nigdy ani teologii, ani dogmatów. Chciał, nie występując z kościoła, zmienić jego zwyczaje. Walkę tę toczył zresztą ze swej celi pustelniczej.

Tak samo, kochając swój kraj, nie mieszkał w nim. Marzył o Italii wielkiej i silnej, ale ponieważ w papieżów nie wierzył, a cesarz znajdował się daleko, za górami, musiał się zatrzymać na ludzie rzymskim. Wierzył wraz z Rienzim, iż jest to jedyna nadzieja wskrzeszenia ojczyzny. Ale i w tej walce pozostał na uboczu, bardziej jako widz, niż jako aktor. Zresztą szybko odwrócił się od Brutusa, aby hołdować Cezarowi. Jego listy, pełne entuzyazmu dla Karola IV, okazują patryotę, ale zarazem człowieka zręcznego, który umie skarbić sobie łaski. Nie gardził towarzystwem Colonnów ani Viscontich, dworował kr. Robertowi, aby być uwieńczonym na Kapitolu. Bodaj czy w swych licznych przemianach nie miał na uwadze przedewszystkiem siebie. Zresztą on mniej pochlebiał innym, niż oni jemu. Książęta zwracali się do niego po trochę sławy, a gdy Karol IV-y zawiódł nadzieje, wchodząc do Rzymu po to, aby prowadzić za uzdę konia papieskiego, Petrarka od niego się odwrócił, i marzenie Gibelina się rozwiało. Poeta radził odtąd Włochom szukać zbawienia w samych sobie i zbawiciela upatrywał, jak później Machiawel, w jakimś C. Borgii.

Powodzenie Petrarki było za życia niesłychane. Jego tryumf trwa zresztą dotychczas, ale to nie dzięki dziełom i czynom, o których mówiliśmy. Rzadko kto z większej publiczności zna jeszcze teraz historyka, geografa, kanonika, dyplomatę, reformatora, patryotę, poetę łacińskiego, który napisał utwór o Scypionie Afrykańskim, albo prozatora, który rozsyłał listy dowcipne i głębokie do licznych swych znajomych — wszystkiem tem zdobył sobie sławę u współczesnych. My natomiast znamy raczej kochanka Laury, który na cześć jej szlifował i gładził w chwilach wolnych od zajęć poważnych swe sonety. Laura nie jest mitem, ani symbolem teologii. Świeże badania dowiodły stanowczo, iż istniała. Nader zręczną kobiecą dyplomacyą zwodziła poetę w ciągu 20 lat. Miłość ta była utrapieniem jego życia. Napróżno chciał wyrwać ją z serca, uciec od niej bezustannem podróżowaniem lub chroniąc się na łono kościoła. Ona trapiła go do ostatka. Zawdzięczamy jej *Canzonierę*. Jak dwa charaktery, tak różne, Petrarki i Boccaccia, mogły się połączyć ścisłą przyjaźnią? Jeden był arystokratyczny i delikatny, drugi— rubaszny. Stało się to dzięki względom i konwenansom, zupełnie jak później pomiędzy Goethem i Schillerem, których dotychczas naiwność filistrów łączy szczerym uściskiem. W istocie jest to zawsze wyrachowanie i uległość. Petrarka głosił przyjaźń za „pierwszą rzecz w świecie — po cnocie." Miał przyjaciół bez liku, ale najserdeczniejszym z nich był Boccaccio, który w prostocie swej zwykle lubił drapować się w płaszcz dziurawy zimnego filozofa i w stosunkach z ludźmi udawał pogardę zaledwie przykrytą. Petrarca, jakkolwiek dziki i samotny, był z ludźmi łatwiejszy i przystępniejszy, gdy znajdował uległość. Boccacio widział w nim więcej, niż przyjaciela, mistrza, jakim Wirgiliusz był dla Dantego. Znużony dawniejszą swą działalnością literacką, chciał wstąpić na drogę poważniejszą poezyi i nauki pod przewodnictwem Petrarki.

„Dotychczas — mówi do siebie w łacińskiej eklodze — wymiatałeś chlewy świń, które karmiłeś trawą, zebraną na drodze." Odtąd pożąda „uścisków Safony," czyli wiedzy starożytnej i poezyi łacińskiej. Petrarkę, nim go poznał, stawiał wyżej nawet, niż Dantego, zwłaszcza w poezyi łacińskiej. Było to po dżumie 1348 r. i po śmierci Laury. Złamany boleścią, poeta powracał do Rzymu jako pielgrzym, pełen skruchy i żalu. Druga część *Canzoniery* wyrażała ten nastrój duchowy, który — obok innych względów — znakomicie się nadawał do zbliżenia dwu ambitnych pisarzów. Boccaccio wysłał Petrarce panegiryk łaciński, zapraszając w gościnę do Florencyi. Zarazem Rzeczpospolita, chcąc ściągnąć do świeżo założonego uniwersytetu człowieka o imieniu europejskiem, zapomniała o swych urazach politycznych, o przeszłości awanturniczej Gibelina i chciała zwrócić mu skonfiskowane dobra. Na posła w tej sprawie wybrano Boccaccia. Spotkanie nastąpiło w Padwie 1351 r. Połechtany w miłości własnej, Petrarca przyjął z początku zaprosiny swych współobywateli, a na Boccaccia wpłynął, żeby za jego przykładem wyrzekł się świata i zstąpił

na drogę skruchy i życia chrześciańskiego.

Obietnicy jednak swej nie dotrzymał i obawiając się prawdopodobnie zwrotu opinii florentyńczyków, powrócił do Avignonu, na który przez całe życie narzekał i ogłaszał za miasto najobrzydliwsze i najsprośniejsze w świecie. Urażeni współobywatele odnowili dekrety wygnania i konfiskaty, które chwilowo zawieszono. Całe to zajście miało jednak wpływ stanowczy na późniejszą działalność Boccaccia. Odtąd znajdował się w stałej wymianie myśli z Petrarką. Była to jednak przyjaźń szczególnego rodzaju. W r. 1353 autor sonetów, zaproszony przez Viscontich, udał się do Medyolanu, zadając w ten sposób ponowną zniewagę Florencyi. Boccaccio pisze do niego list gwałtowny, w którym piętnuje czyn Petrarki, jako zbrodnię, przypisując go zarazem pobudkom nikczemnym „przeklętej żądzy złota." Pomimo to „przyjaźń" ich była widocznie dla obydwu wygodna, gdyż wkrótce wznowili dawną, pogodną korespondencyę.

Już pod wpływem Petrarki Boccaccio napisał po łacinie historyę „Sławnych dam" i „Nieszczęścia sławnych mężów" o tendencyi moralnej i chrześciańskiej, gdzie wywody wszędzie wypowiadane są przez samego Petrarkę. Boccaccio zmienił sposób myślenia, a z czasem zwyczaje swe i sposób życia. Oddaje się także całkowicie erudycyi, poszukiwaniu tekstów starożytnych i ich kopiowaniu. Z drugiej strony i on nie pozostał bez wpływu na Petrarkę. Mianowicie, zmusił go po przyjacielsku do przeczytania *Boskiej Komedyi*, której autor sonetów dawniej nie chciał poznać, aby nawet nieświadomie nie uledz wpływowi Dantego i pozostawać samym sobą.

Idąc w ślady Petrarki, zajmował się archeologią, historyą i geografią Pozostawił „Genealogię bogów" i „Dykcyonarz geograficzny." Nareszcie na wzór Petrarki szukał w mitologii ukrytych morałów i tłomaczeń zdrowego rozsądku. Zarazem zmienia całkowicie swe poglądy na poezyę. Jest to dla niego rzecz święta i czysta o znaczeniu mistycznem i szacie alegorycznej, jak ją znajdujemy u Dantego. Siebie samego nie uważał przeto za poetę.

Wspólnym wysiłkom Petrarki i Boccaccia zawdzięczamy tłomaczenie, a może i zachowanie epopei Homera. Nie umiejąc po grecku, wynaleźli kalabryjczyka, L. Pilata, który dokonał przekładu z bardzo rzadkiego rękopisu. Umarli prawie jednocześnie, w r. 1375.

Koniec XIV stulecia był smutny. Dante, Petrarca, Boccaccio, którzy po dziesięciu wiekach snu przebudzili literaturę starożytną, zstąpili do grobu. Ale ziarna, które oni posieli, miały wkrótce wzejść obfitym plonem. Już w dali ukazywała się jutrzenka XV stulecia i rozkwit Odrodzenia.

L. W.

LITERATURA POLSKA

Pisma Jordana (Juliana Wieniawskiego).

(Dokończenie).

Jak w „Listach do pana Jana" p. Aleksander Głowacki, tak w „Przygodach panów Marka i Agapita" Jan Lam i Jaxa Bykowski (prawdopodobnie ten ostatni swymi „Pamiętnikami włóczęgi," wydanymi w r. 1872) zawrócili nieco głowę Jordanowi, niepotrzebnie czułemu na to, „co się liczniej i skwapliwiej czyta" wśród kameleonowo zmiennej publiczności naszej. Zgryźliwa i natarczywa miejska kurzawa drwinek autora „Głów do pozłoty" i rozmazana, ślamazarna dobroduszność naiwnych szlacheckich typów zbieracza „Skarbów prababki" podały tu sobie ręce do antytez o skali cokolwiek za szerokiej, jak na obserwacyjną wprawę i przyzwyczajenie twórcy „Wędrówek delegata." Zarówno w „Przygodach," jak i gdzieindziej, Jordan umiejętnie i szczęśliwie posługuje się najpospolitszem — bo też i najdzielniejszem narzędziem humorystów: kontrastem. Ale o ile kontrastowość ta ma być u niego udatną — jest ona i być musi zawsze niewielkich rozmiarów, bezpośrednią i skupiona — jak w tej np. sylwetce przepysznej, bo odręcznej: „Pan Filip, człek z gruntu poczciwy, miał wioskę małą — potrzeby wielkie, miał interesów tysiące — ogłędności ani na grosz, glebę mocną — sprzężaj słaby, zagony wązkie — serce szerokie, inwentarz chudy — sąsiadów tłustych, śpichrz pusty — piwnicę pełną, słowem miał wszystko, czego mu było potrzeba... do jak najprędszego wymknięcia się z siedziby dziadów" (II, 23). Kosztowności takich pełno w „Przygodach panów Marka i Agapita." Główki i popiersia Arkadyusza, pani Pempke, kapotowego jegomości na Pradze, Fulgencyusza Pękalskiego, księdza proboszcza na wystawie, rozmowy w rodzaju Hilarego przy obiedzie u Bouquerela, zwłaszcza zaś sceny, czasami trochę przeszarżowane w refleksach, lecz wszędzie trafne w założeniach i naturalne w swych sytuacyach własnych, jak np. sprawunki u żydków tandeciarzy, poszukiwanie stancyjki hotelowej, wyśmienite *qui pro quo* w sklepie z tytuniem (panny Flora i Aurora) — nie ustępują najświetniejszym światłocieniistym kreacyom Kostrzewskiego. Ponieważ jednak wszystko to rozłożyło się na tle również kontrastowem, złożonem z ustawicznego zbiegania się i rozbiegania świateł krańcowo odmiennych, jaskrawych, niepochłaniających się wzajem, przeto koloryt ogólny staje się tak mętnym i twardym, że często zaciera i gasi najwdzięczniejszy połysk kontrastów mniejszych, klejnotowych.

I oto dotarliśmy wreszcie do „Wędrówek delegata," do dzieła, któremu, według d-ra Piotra Chmielowskiego („Zarysy najnowszej literatury," wyd. trzecie, str. 258), Jordan „zdobył sobie rozgłos wstępnym bojem." I zdobył go na trwałe, niemilknące po dziś dzień dostojeństwo, skoro niektóre opowiadania „Z boru i dworu" wyniosły się nawet po nad „Wędrówki," a z tych samych powodów. Humor prawdziwy, rzetelny — to znaczy swobodny, nie zduszony w objęciach intencyj szlachetnych, nie spowity do bezkrwistej białości w pieluchy celów wysokich, niewiele gdzie „zafrasowany" o sztuczne pokarmowe sytki pożytku publicznego, lecz prosto i zdrowo ssący matczyną pierś prawdy i rzeczywistości, — humor ten jordanowski niepodzielnie prawie idzie w „Wędrówkach" na uwydatnienie zdarzeń, faktów, czy też może tylko zjawisk atmosferyczno-społecznych — niezbyt zapewne miłych i schlebiających naszej miłości własnej, lecz przedstawionych w jedynem możliwem świetle: śmiechu lub uśmiechu. To jest humoru tego pierwsza i zarazem ostatnia pochwała. Co do reszty, wszystko jest najzupełniej proste i widne jak na dłoni: i architektonika, i ornamentacye, i widoki bliższe, i przeznaczenia odleglejsze. Szereg przywar i nieudolności społecznych, nagromadzonych w drodze drobiazgowych a długoletnich spostrzeżeń i doświadczeń, rozpada się klasyfikacyjnie na żywostany odrębne, występujące w topograficznej i etymologicznej wypukłości, nie wymagającej ściślejszego określenia. Kutlewo, Łgarzewo, Wichlaczew, Blichtrów, Sobkowice, Przemysłowice, Tchórzowice („Odwiedziny") — ostać się potrafią bez rekomendacyi i referencyi. Siedem podwalin zbiorowej naszej niemocy, pijatyka, blaga, pieniactwo, życie nad stan, samolubna i skostniała zachowawczość, małpiarstwo, przedewszystkiem zaś zatrata i wygnębienie w sobie wszelkich śladów odwagi cywilnej, nie wołają tu ani o ratunek poniewczesny, ani o absolucyę przedwczesną: śmiało owszem i bezpiecznie wylegają się na miękim gruncie wszechrozkładowego optymizmu i spokojnie oddychają powietrzem niezbyt cierpkiej ironii p. Piotra, delegowanego z ramienia p. Jordana. Nie można powiedzieć, żeby dosiebne rozmyślania lub uwagi p. Piotra nie budziły od czasu do czasu uśpionych widoków etycznych i dobrobytniczych, wypływają one wszakże nie z objektu widzialnego i namacalnego i nie bardzo też do niego się garną i przy nim trzymają... Donośniej za to odzywa się basowy głos p. Telesfora Barylkiewicza, powiernika monologów p. Piotra. Wtedy już milczeć należy: to nasza synteza domowa — postać od kamizelki do szpiku kości realna, według naocznych wzorów skrojona, a stanowiąca w tem dyabelskiem siedmiopagórkowem naszem uspołecznieniu — jego wiązadło i kopułę...

Więc gdzież się podział nieubłagany, nieodwołalny zazwyczaj rywal ognistego tego humoru Jordana: pobłażliwość, wyrozumiałość, pocieszenie obywatelskie?.. Jest i on, nie pierzchnął. Tu i owdzie utrzymuje ciekawy ten współzawodnik, że bądź co bądź, życie nad stan znika stopniowo (t. I, s. 132), że zdziczało sobkostwo łagodnieje gdzieniegdzie (134), że wśród plew i zielsk pasorzytnych znajdzie się w potrzebie i trocha pełnego ziarna (140). Niewiele to przecież nas grzeje i niewiele ziębi, gdyż ukazuje się wyłącznie w kształcie kropelek oliwy filozoficzno-religijnej, sączącej się z podmiotowego flakonika zacności współziemiańskiej — na otwarcie i wszechstronnie rozgangrenione rany... Niezawodnie, w jednem miejscu „Wędrówek" mamy tej oliwy nawet wiadro całe. Spłynęła ona ze smętnych, upokorzonych i załzawionych oczu niewieścich Że zaś nadziemskie prawie tych oczu piękno i słodycz autor chciał i umiał pokazać nam w postaciach konkretnych, na obrazie, nie zaś tylko w sentencyi etykietkowej, przeto i z tą jego sentencyą więcej się w tym punkcie liczyć można i należy. Powiada Jordan: „Lubo rozpasanie wszelkie, jak rak w organizmie, toczy społeczeństwo nasze, — jeśli tylko skażenie nie dotknie kobiety, jeśli ona wyniesie z sobą całą godność nietkniętą, a świętość swego posłannictwa pojmie i dzieciom przekaże, — wątpić o moralnem odrodzeniu się społeczeństwa nie należy" (I, 103). Ani słowa: od niepamiętnych czasów te nasze Święte Pańskie miały w poetach, myślicielach i artystach wiernych i stałych wyznawców. Nikt też nie zaprzecza, że te nasze modły do kobiety po dziś dzień jeszcze skutkują. Ale zachodzi różnica ogromna w innym zakresie. Opoje, niedołęgi, stoczeni przez robactwo swawoli i samowoli, stopniowo wymierają, niewiasty zaś zdrowe, czerstwe i zacne — pozostają, potrzebując, naturalnie, na mocy samego założenia, towarzyszów mniej więcej chociaż z niemi równych... Owóż, zachodzi pytanie: jak długo opierać się one mogą pokusie zastąpienia *swego* nikczemnika i trutnia *cudzym* pracownikiem i chlebodawcą? — i czy nie na tem ostatecznie skończy się cała historyozofia odrodzenia schorzałego społeczeństwa z pomocą i za orędownictwem „nieskażonych," niedotkniętych zarazą niewiast?..

Względnie do ziemian, zagadnienie to rozstrzyga Jordan niemal twierdząco, — w krótkim, ale zwięzłym tym bilansie: „Aibo masz w powiecie choć trzy majątki, w którychby dotąd trzecia generacya się utrzymała?" (I, 137).

Oprócz balsamu serc niewieścich, dawniejsi nasi pisarze posiadali jeszcze rozmaite inne „drogie maście" na wysysające ich duszę zmory niepokoju i zwątpienia. W oddaleniu mglistem i ciemnem, po za gąszczami głuchych dąbrów, w matni grzęzkich błock i moczarów, na tle nieprzebytych piachów

i pustkowi, stały z odsieczą wielce niepewną, lecz najpobożniej zawsze pożądaną, gęste masy siermiężnego ludu. Od czasu do czasu wyskakiwał stamtąd jakiś na ciemnym koniu pędzący kozak, jakiś po byrońsku zadumany Bondarczuk lub torbami obietnic obciążony Wernyhora, w salonie zaśpiewano niekiedy „Rosła kalina“ lub „Szumią jodły,“ na scenie dano „Karpackich górali,“ panny pociehutku odśpiewały na gminną nutę niewydanego dotąd w całości krakowiaka (Zdanowicz i Sowiński, III, 654), młodzież z otuchą odczytała broszurkę Heltmana o demokracyi — i było tam jakoś niby to lżej na piersi i jaśniej w głowie. Mgły wszakże stopniowo się rozpraszały, jeden i drugi śmiałek spróbował zanurzyć się w głąb zaczarowanego jeziora, niewodem zagarnięto raz i drugi po kilkadziesiąt sztuk potworków, znanych dotąd jedynie z dwu chudych tomików „Klechd“ Wojcickiego... Nie można powiedzieć, aby urok pierzchnął odtąd odrazu, ale i to także każdy przed sobą wyznać oddawna już musiał, że rzeczywistość nie we wszystkiem i nie wszędzie dopisała oczekiwaniu.. U Jordana jest ona taką, że ani żart, ani morał nie zahaczą się o nią mocniej i udatniej. Z mozolnego zestawienia rysów pojedyńczych otrzymuje się tylko kancelaryjny regestr przymiotów, z którym, chwilowo, zupełnie niewiadomo co czynić. Bartkowie i Maćkowie nasi są na ogół ludźmi pobożnymi, — trafią do nich słowa zacnego starego kapłana, zalecające miłość wzajemną i zgodę (IV, 245), ale skorsi są jeszcze do słuchania namów i podszeptów niecnego karczmarza, który ich (o kilkanaście kartek wyżej) do rozbratu pobudził. Mogą niekiedy uwierzyć w skuteczność sikawki przy pożarze swych strzech słomianych, ale o wiele pewniejsi są, że we własnej osobie dyabeł im mosty na Poczekajce psuje i szkapy kradnie lub zajeżdża (I, 144). Ilekroć zboże sowicie obrodzi, dowodnie wiedzą, że włodarzył im Pan Bóg, ale żeby zbiór w porę przed jesiennemi słotami ujrzał się w stodole, na to nie ma dzielniejszego gospodarza nad kieliszek wódki (I, 73). Uczują lekką zgryzotę sumienia, ilekroć za długo na targu przyglądają się „tyatrom małp i ludzi, czarownikom i dziadom żebrzącym,“ ale też jednocześnie uważają się za czystych jak śnieg i mądrych jak niemiec, jeśli sprzedają dychawicznego wołu za zdrowego i kulawego konia za szybkonogiego (I, 424). Pracowici są, posłuszni, uprzejmi i uniżeni do zbytku, gdy im patrzysz w oczy, ale dość się odwrócić, aby wraz „dziewki z parobkami puściły się pędem do karczmy, gdzie już arendarz ciągnie katarynkę za ucho“ (II, 19)... Bez wyjątku natomiast są szczerzy, dobrzy, gościnni, ludzcy i nawet wspaniałomyślni, gdziekolwiek i ile razy, na odpust czy na chrzciny, na jarmark czy na wesele, dola dozwoliła im ciągnąć w strojnych „białych sukmanach, spiętych czerwonymi pasami, w śpiczastych kapeluszach, zdobnych w pawie piórka, i gwarzyć z kobietami, jaśniejącemi urodą i odzieżą krasną...“ Ileż wtedy szczęścia, ile światła i nadziei rozlewają dokoła „to ich oblicza pogodne, to ich usta uśmiechnięte, to ich oczy jasne, to ich warkocze płowe — i te ich czerwone spódniczki, zręcznie sfałdowane i osłaniające nogi trochę tylko niżej kolana!..“ (III, 352).

Bezwątpienia, słonecznie rozradowany i barwny ten widok zasępia się wnet dokoła od chmur grubych, nie dla samego już tym razem kontrastu nadciągających zewsząd ławami czarnemi: plugawego, zdziczałego, jak szarańcza mnożącego się wyzysku życiowego i rozrzutnej, bezdusznej, do okrucieństwa zapamiętałej pogoni inteligencyi naszej za byle jaką uciechą... Szczególnie kochanej Warszawce autor przebaczyć nie może, powtarzając raz po raz w „Listach do pana Jana“: „Pląsa ona, stara kokieta, jak chory w tańcu św. Wita. Bale cywilne i kostiumowe, wieczorki z przeróżnych tkanin uszyte, koncerty i teatry, tombole i maskarady, rauty i przedstawienia amatorskie pochłaniają cały żywot tych szczęśliwych wybrańców... My tu ziewamy z nudów, oni z przesytu rozkoszy; my głowę łamiemy, jak się wykręcić żydowi, oni łeb suszą, jak się wykręcić w mazurze; my dmuchamy w puste łapy, oni w wysączone kielichy; my tu, jak szare wróble w szarych nosimy się kurtkach, oni, jak pstre papugi, w czerwone fraki się stroją“ (III, 277). Tak jest niezaprzeczenie. Tylko że, właściwie, o co się tu Jordan gniewa? Toż to jedyne pole, na którem nieśmiertelny wawrzyn dla niego i dla jego współtowarzyszów porasta, toż to jedyna karta dziejów, na której potomność z serdecznem uznaniem odczyta jego słowa: „Przestaliśmy się śmiać i kto wie, czyśmy się już śmiać nie zapomnieli — a tymczasem to pewna, że społeczeństwo, które się śmiać poczciwie nie umie, traci swobodę myśli, traci może nawet wiarę w przyszłość, popada pod brzemieniem rzeczywistości w odrętwienie i apatyę“ (III, 358). W zakresie tym można nawet sobie na coś znacznie więcej pozwolić, można — trawestując nieco znany wiersz Goszczyńskiego, powiedzieć do Głowackich, Szaniawskich i Jordanów: „Karcąc, uczcie!—gdy to znuży, świat wiecznego odpoczcnienia da wam milszy kwiat od róży: łzy wdzięczności i wspomnienia...“

J. T. Hodi.

PRZEGLĄD TEATRALNY

Zygmunt Sarnecki: *Harde dusze*, sztuka w 5 aktach (6 obrazach), podług powieści Orzeszkowej.

Na otwarcie Teatru Letniego dyrekcya w tym roku dała nową sztukę, nową podwójnie: wcale jeszcze przedtem nieznaną w Warszawie i z samego rodzaju swego niezwykłą. Nie jest ona ani tendencyjną — „kwestyową,“ ani przeciętnie obyczajową, ani psychologiczną; nie szczypie satyrą, nie rozśmiesza umyślnym konceptem, nie bawi i nie złości widza przez ukazywanie mu na scenie — jego samego. Świat tej sztuki jest odrębnym od świata widzów; obyczaje jej nie są ani średnio-europejskie, ani ogólnieswojskie; moralność jej obywa się bez kanalizacyi, tak niezbędnej w sztukach moralnych współczesnej cywilizacyi i współczesnej twórczości, zwłaszcza jeśli je wydaje z siebie geniusz „wielkiego narodu.“ Ogół wypadków w „Hardych duszach“ wytwarza zjawisko samo w sobie, jakby indywidualne, i tylko przez dynamikę swoistą natury ludzkiej mające typ wspólny ze zjawiskami naszego codziennego życia i codziennej też sceny.

Oddycha się w tej sztuce nowem — czystem, orzeźwiającem powietrzem, jak gdyby się z zaduchu miejskiego wyszło w pola i lasy. Nie potrzeba tu policyi moralnolekarskiej: zdrowie samo leci w płuca. Sztuka została gdzieś za górami: niesfałszowana i sfałszować się nie dająca natura sączy się wszystkimi porami. Kwiaty na łące, na nieprzejrzanych łanach ruń zielona i złote kłosy, w lasach majestat wspaniałości i ciszy, słońce jasne i gwiaździste niebo nad głowami, w sercach ciepło dla ludzi, w sumieniach spokój i czystość: więc sielanka? Nie, jest to dramat, są i błędy i zdrożności, bo jest natura ludzka; tylko nie czuć w tem wszystkiem wyziewów średnio-europejskiego uobyczajenia. Patrzy się na ludzi prostych, ale niezepsutych, nie znających form towarzyskich, ale przytem i wybornie obywających się bez naszej obłudy i występku. Ludzie ci wrą dodatniemi i ujemnemi namiętnościami, a w żywotności swej i prawdzie dalecy są od sielankowej doskonałości; ale na ich ujemność składają się tylko przywary, nałogi i pewna małość umysłowa i uczuciowa, bez złości wszakże i bez głupoty; a ich dodatniość znowu jest od naszej lepszą, bo bezwiedniejszą, szczerszą — jakby ochłodą z krynicy: im samym przychodzi bez trudu, widzów podbija bez walki.

Może to wszystko jest zbyt proste, ubogie, nie zbyt zajmujące europejskich australczyków, jakby ich nazwać mógł wielki talent, któremu p. Sarnecki zawdzięcza temat, dramatycznie ujęty w „Harde dusze“ — ale jakże wdzięczne, z jak miłej ukazane strony, ukazane przecież tym tylko, którzy jeszcze nie ociemnieli na zjawiska obce naszej przeciętnej cywilizacyi i umieją odczuwać człowieka nie ustrojonego w konwencyonalne suknie, wdzięki i mądrości. Od tych „Dusz hardych,“ w gniewie czy w radości, bucha naiwność, w złem czy dobrem promienieje z nich nieprzeżarta jeszcze przez obłudę natura, a przez największe nawet ich złości prześwituje niewygnana jeszcze z serc dobroć, jako siła poruszająca życiem — dobroć, dar tak rzadki na ziemi!

Namiętnością a raczej obłędem zbiorowym, panującym w sztuce, jest uczucie szlacheckiego honoru, dramatyczność zaś w niej powstaje ze starcia się właśnie tej namiętności z uczuciem własnej, nie zaś stanowej, godności. Tytuł powieści, z której p. Sarnecki wysnuł swój dramat, dokładnie określa i ton panujący obłąd, i to zbiorowisko ludzkie, które mu ulega. *Bene nati!* Co wobec panów Osipowiczów znaczy taki Jerzy Chutko, człowiek wykształcony, dzielny, ale — prosty chłop? Nie dadzą mu swej Salusi, odciągną ją od niego i będzie dramat, nawet tragedya, będzie nieszczęście, i łzy palące będą, i ból, który może po długich dopiero latach się ukoi.

Powieść Orzeszkowej nie należy do rodzaju dramatycznych, tych, co to same proszą się o scenizowanie. Co jest w niej najpiękniejszego: dla fizycznego oka krajobrazy, dla duchowego — stany dusz na tle przepysznie ujętego życia rodzajowego — nie dało się z niej przenieść na scenę. Niemałego potrzeba kunsztu, aby z takiej powieści wytworzyć dramat, nie uronić pereł pierwotworu, nie poosadzać błyszczących szkiełek w przekonaniu, że się daje drogie kamienie, a wreszcie oprzeć się pokusie oryginalności, tak niebezpiecznej dla wszystkich, przerabiających powieści na sztuki sceniczne. Opracowanie p. Sarneckiego nie zupełnie zadowala. Za główne złe w sztuce uważam właśnie oryginalność w zakończeniu dramatu. Orzeszkowa pozostawia pasmo niewyciągnięte, ale wysoce zaciekawiające, p. Sarnecki dorabia finał, przypominający Halkę, wprawdzie bez obciążającej okoliczności, ale zawsze utopienie się z nieszczęśliwej miłości. Nawet najazd Konstantego z tłumem swoich przypomina libretto Wolskiego — i na co? Czy nie można było sztuki zakończyć tak, jak Orzeszkowa zakończyła powieść? Niepotrzebnie zupełnie p. Sarnecki dał się przekonać, że dramat potrzebuje ściśle określonego, pozytywnego uderzenia — jakby łopatą w głowę.

Autor „Zemsty pani hrabiny“ nietylko nie dał „głupiemu“ Gabrysiowi uratować Salusi, ale mu nie pozwolił być taką, jak w powieści indywidualnością. Jest to postać stanowczo zepsuta w przerobieniu. I Jerzy też nieosobliwie na udramatyzowaniu wyszedł. Głęboka jego żałość znikła; został płytki człowieczek, odrazu *par dépit*, jak pensyonarka, przerzucający się od dawnej do nowej miłości. W powieści również nie jest to postać postawiona silnie, ale przerobienie pozbawiło ją i tej siły, jaką tam miała. Dobrze wyszła Aniela, dobrze oboje Kuleszowie i Obuchowicze.

Tylko obowiązkiem reżyseryi było nakazanie większej powściągliwości w objawach małżeńskich afektów Michałowi Osipowiczowi i jego żonie. P. Jasmont z Cydzikiem stoją po dodatniej stronie trudu: przeniósł ich żywcem p. Sarnecki z powieści i wybornym ich humorem ożywił sztukę, nawet dla tych, którzy dopominają się na scenie — własnego swojego świata, ze wszystkimi jego urokami i całem—bogactwem obyczajowem.

Wogóle opracowanie na scenę tam, gdzie się trzyma Orzeszkowej, jest dobrem, gdzie od niej odstępuje — ułomnem. Trzy pierwsze obrazy zrobione są lepiej od trzech drugich; w IV-ym zbyt obcesowe działanie dla wygody sceny, paczy zupełnie rozrost psychologiczny charakterów. Udała się zupełnie nocna modlitwa przed obrazem i scena między Aurelką a ojcem (obraz III). Dobrem też jest katechizowanie Salusi przez Osipowiczów w obrazie II-m.

Sztukę wystawiono starannie, chociaż nie robiono nadzwyczajnych wysiłków. W I-ym obrazie nie zapomniał p. Ładnowski o owej dzieciarni, tak wdzięcznie goniącej się po podwórzu wraz z Aurelą w zimie — zamienionej na lato; ożywił widok przeciąganiem przez scenę służby folwarcznej p. Kuleszy; pamiętał nawet o jednym psie większym, drugim mniejszym i szczekanie ich, dochodząc do uszu widzów, uzupełniało symbolikę wsi. Nie zbrakło i przyjaciółek narzeczonej i orszaku Konstantemu, przybywającemu upomnieć się o Salusię w akcie V-ym. Przedstawienie szło składnie, tylko ze zbyt długimi międzyaktami.

Artyści starali się grać jak najlepiej; nawet ci, których pamięć zawodziła, mieli dobre chęci. Wszystkich prześcignęła p. Trapszowa, jako Aurelka; takiego prawdziwego płaczu, jak jej w obrazie III, nie słyszy się często w teatrze. P. Frenkiel (Kulesza) z początku chromał, później wpadł na ton poważny i umiał się już w nim utrzymać, a jego siła, pewność siebie, doskonałość artyzmu, prawdziwie wirtuozowstwo sceniczne — pozwoliły mu wiernie odtworzyć postać, rzuconą przez poetkę na widownię cichego Laskowa. Pani Kuleszyna znalazła dobrą przedstawicielkę w pani Borkowskiej, w rolach starszych kobiet ciągle postępującej. Panna Czakówna była i dobrą i złą: z brawurą sobie radziła, jak należy, ale z uczuciem miała trudną sprawę. P. Ładnowski utopił Gabrysia w łzach, pozbawił go i tej nawet bujności psychicznej z melancholijnego marzycielstwa, ale i duchowego skupienia, jakiej mu p. Sarnecki nie był jeszcze wydarł.

P. Leszczyński grał małą rolkę Zaniewskiego, a kto wie czyby nie zagrał większej, Jerzego Chutki, lepiej od p. Rolanda, chociaż nie jest już młodym, nie ma więc niby najpierwszej kwalifikacyi na kochanka. P. Rolandowi brakło postawy, siły — jednej prostoty Jerzego; był zanadto miękkim romantykiem. Konstantego Obuchowicza grał p. Rapacki i z początku zwłaszcza robił z niego za wielkiego sensata, przez co i przepyszne: „Kiedy bieży, to bieży...“ nie sprawiało zrazu wrażenia. P. Wolski był humorystycznym Cydzikiem, a p. Wojdałowicz — Pancewiczem. P. Narkiewiczowi należy się najzupełniejsze uznanie za Kazimierza Jaśmonta; dał więcej, niż się po nim spodziewano. Dobrą wreszcie matką Jerzego była pani Szymanowska. W sztuce, prócz statystów, występują 44 osoby.

Stanisław Krzemiński.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Pośród różnorodnych objawów życia społecznego w Galicyi, jedno z wybitnych miejsc zajmuje niezawodnie ruch śród żydów, wywołany stowarzyszeniem syonistów. Niezmiernie mało ludzi u nas nim się interesuje, chociaż jest on i ciekawy i bardzo ważny. Jedynym człowiekiem w Galicyi, który nad tak zwaną kwestyą żydowską pracował, jest T. Merunowicz; inni, nawet żydzi, traktują ją bardzo chętnie z punktu etycznego.

Ażeby dać czytelnikom *Prawdy* pewne pojęcie o tym ruchu, pozwolę sobie przytoczyć krótkie uwagi o niedawno odbytym wiecu w Stanisławowie.

Zarówno na Bukowinie, jak i w Galicyi, pośród masy społeczeństwa żydowskiego, szerzy się coraz więcej agitacya w celu zorganizowania żydów w odrębne, samoistne stronnictwo pod względem politycznym i narodowym. Idea asymilacyi, do niedawna prawie wyłączna wśród ich inteligencyi, ustępuje twierdzeniu, iż żydzi stanowią w tych krajach odrębną narodowość i jako odrębny żywioł powinni dążyć do równouprawnienia z innymi.

Dotychczas, jak powiedziałem, ruch ten był u nas lekceważony, chociaż ze wszechmiar zasługuje na to, ażeby się zapoznać z jego dążeniami i usposobieniem przywódźców nowego stronnictwa — jeżeli je można tak nazwać.

Syoniści niejednokrotnie już odbywali zjazdy w różnych miastach prowincyonalnych, z jawną chęcią nietylko jednania sobie stronników, lecz także popularyzowania swoich poglądów. Większość społeczeństwa żydowskiego patrzy na te zabiegi obojętnie, nie rozumie ich, i trzeba przyznać — posiada ten zdrowy rozum ekonomiczny, który nie pozwala jej wystąpić wrogo przeciwko tym, z których żyje. Nie należy rozbijać garnka, w którym złożone pożywienie, bo nie będzie w czem go przechowywać. Zresztą, nie wymarła pośród nich także pamięć kozaczyzny, mszczącej się za ucisk ekonomiczny. To wszystko powstrzymuje szarą masę społeczeństwa żydowskiego od usuwania się od wojowniczych harców o bardzo niepewnom zakończeniu.

Tę wstrzemięźliwość polityczną, że tak powiem, widać było i na ostatnim sejmie żydowskim w Stanisławowie, gdzie chałatowej ludności prawie nie było. Ruch narodowościowy powstał w głowach zapaleńców, kształconych w uniwersytetach niemieckich lub na wzorach niemieckich, a właściwie pruskich.

Inicyatorowie wiecu w Stanisławowie: dr. Zipper i dr. Grünberg ze Lwowa, wykazawszy potrzebę utworzenia stronnictwa żydowskiego, uderzyli z całym zapałem na Galicyę za prześladowania i krzywdy, jakie się im dzieją, — chociaż, jako żywo, nietylko nikt ich nie prześladuje, lecz pozwolono im zająć przodujące stanowisko ekonomiczne w przemyśle, handlu i bankach z wielką krzywdą dla ludności wiejskiej. Panowie ze Lwowa nic o tem nie mówili, lecz domagali się natomiast wyższych stanowisk dla żydów w urzędach, nic także nie wspominając o tem, że przyczyna tego nie leży w żadnej rasowej nienawiści, lecz w wadach charakteru żydowskiego. Za winnych pokutują niewinni.

Dr. Zipper, pełen oburzenia, piętnował namiętnemi słowami objęcie przez Wydział krajowy sprzedaży soli, co odebrać miało tysiącom rodzin żydowskich chleb i sposobność zarobku. Prawda, handel solą był do niedawna wyłącznie w ręku żydów, ale też przekonano się, że służył on za środek niszczenia, ubożenia i wyzyskiwania ludu wiejskiego. Mocno gniewał się także szanowny mówca na rozporządzenie magistratu zdjęcia szyldów z napisami żydowskimi. Nie podobał się także p. Zipperowi cały kierunek pracy na polu ekonomicznem, mającej na celu wyrwanie ludu wiejskiego ze szponów wyzyskiwaczy; gniewał się przeto na zakładanie kółek rolniczych i sklepików chrześciańskich, które podkopują byt żydów, — nie wspomniał jednak nic o tem, że jest to tylko próba wyzwolenia się od lichwiarzy. Grom potępienia spotkał także ustawę o święceniu niedzieli, bo „jeżeli żyd ma żydowskich czeladników, a jednego *wodonosza* chrześcianina, czy dlatego już musi świętować?“

Taką i tego rodzaju agitacyę prowadzą syoniści w Galicyi przy pomocy pisma *Przyszłość*, wydawanego za fundusze składkowe i nie rozsyłanego do redakcyj pism krajowych. Dodać jednak trzeba, że syonizm tutejszy pojęty jest w sposób zupełnie oryginalny. Syonem nowożytnym nie jest bynajmniej ów biblijny, nad brzegiem Jordanu, raczej jest on tylko sztandarem, pod którym skupiają się agitatorowie galicyjscy; żydzi tutejsi powiadają wręcz: „Nie mamy zamiaru wynosić się do Palestyny; chcemy tutaj żyć i ziemię posiadać.“ Oczywiście tedy pragną zbudować w Galicyi nowy Syon; gdzie go zbudują — jeszcze p. Zipper nie zdecydował. Najchętniej jednak wybraliby do tego Bukowinę.

W poprzednich moich korespondencyach zwracałem uwagę czytelników *Prawdy* na fakt wprowadzenia mundurów szkolnych, dodając, że zamknie to szkoły publiczne dla wielu bardzo dzieci ubogich ludzi, a szczególnie włościan. O ile ludność wiejska, zdobywająca się z wielkim wysiłkiem na ofiarę dla nauki swoich dzieci, odczuwa wszelki wydatek, przekraczający jej budżet, mam teraz dowód na gimnazyum w Nowym Sączu: Przed wprowadzeniem podwyższonej opłaty było tam 500 uczniów, potem zmniejszyło się do 307. Dyrekcya sama przyznaje się do tego, że ci, którzy ustąpili, byli synami włościan. Jakkolwiek zmniejszona liczba uczniów doszła z czasem do pierwotnej, nie byli to jednak synowie włościan, lecz żydzi i mieszczanie. Teraz mundury wyrzucą znowu ze szkół kilka tysięcy chłopów, a Radzie szkolnej będzie się zdawało, że wprowadza porządek. Ciężkie porządki!..

Ch.

PAMIĘTNIK.

Wymowna cyfra.

Przed odlotem z miasta na wieś — fe! co za brzydki wyraz wpadł mi pod pióro! — nie na wieś, ale za granicę, zwołujemy rozmaite walne zgromadzenia, na których im mniejsze sprawy wchodzą pod obrady, tem więcej wywołują krzyku, a najważniejsze załatwiają się milcząco. Jeżeli chodzi o 37½ kop. na marki pocztowe, można bez omyłki powiedzieć, że staną się one przedmiotem zaciętej walki; natomiast gdy idzie o 37,000 rs., nikt nie czuje chęci do boju. Bo kłócą się tylko groszoroby, panowie są zawsze z sobą w zgodzie. Między innemi odbyło się także ogólne zebranie akcyonaryuszów kolei W.-Wiedeńskiej — bardzo spokojnie i przykładnie. Czytelnicy jej sprawozdania, niewtajemniczeni i niezainteresowani, prawdopodobnie bardzo mało zrozumieli z podanych tam cyfr: tyle przypada na kupon, tyle na umorzenie akcyj, tyle na czysty zysk itd. Ale niewątpliwie jedna cyfra

musiała ich uderzyć: „na dywidendę i gratyfikacyę dla dyrektorów 684,719 rs. 44 k.“ Pyszna suma! Ażeby ocenić jej wysokość, objaśnić winniśmy, że nie ma takiego państwa na kuli ziemskiej, którego by wszyscy ministrowie pobierali ogółem tyle pensyi. Szczególnie uposażony Bismark otrzymywał za trzy urzędy razem 80,000 marek. Również generał gubernatorowie, ambasadorowie, namiestnicy — nie mówiąc o niższych dygnitarzach — w żadnem mocarstwie europejskiem nie są tak wynagradzani. „Dywidenda“ przeto dyrektorów kolei W. Wiedeńskiej jest najwyższą zapłatą za służbę publiczną w świecie. Czyż dla sprawowania tych urzędów potrzebne są szczególne uzdolnienia, wiedza, praca, a może wielkie ryzyko? Bynajmniej. Każdy inżenier, budujący drogi i mosty, musi posiadać więcej nauki, każdy mechanik-konstruktor — więcej talentu, każdy referent musi więcej pracować, a każdy maszynista — więcej się naraża. Za cóż więc społeczeństwo płaci 684.719 rs? Jak was kocham, czytelnicy, nie wiem. Ale wiem, że gdyby tylko połowę tej sumy rozdzielić między pracowników kolei, sprawiedliwość byłaby bardzo zadowoloną, tysiące ludzi doznałyby znacznej ulgi w warunkach swego bytu, a przytem panowie dyrektorowie byliby w dalszym ciągu pieszczochami losu. Bo przyznajcie, że za 10—20,000 rs rocznie można jeszcze żyć w Warszawie bardzo wygodnie. Niechaj więc akcyonaryusze zaproponują na przyszłem ogólnem zebraniu odpowiednie zmniejszenie „dywidendy i gratyfikacyj“ dyrektorów. Nie można — słyszymy odpowiedź — bo oni mają kontrakty, które im zastrzegają ten dochód. Niestety, tak jest, ale po co było zawierać takie umowy? Czy nie można taniej dostać dobrych dyrektorów? Prosimy ogłosić licytacyę *in minus*, a jesteśmy pewni, że znajdą się setki bardzo zdolnych i uczciwych kandydatów, którzy najchętniej podejmą się kierować zarządem kolei za 4 lub 5,000 rs. rocznie bez żadnych dywidend i gratyfikacyj. To nie wynajdowanie prochu, ani odkrywanie Ameryki. Gdyby zaś akcyonaryusze kolei W. Wiedeńskiej zrobili tę oszczędność, wtedy jej korpus służbowy miałby bez wyjątku całe buty, my jeździlibyśmy porządnymi wagonami i może po niższej cenie.

Dalszy ciąg gry.

W ubiegłym tygodniu graliśmy dalej zawzięcie na polu Mokotowskiem, a ponieważ jakaś niezwyciężona dotychczas „faworyta“ uległa w walce jakiemuś „faworytowi,“ więc wzruszenie totalizatora było wielkie, a jego obroty jeszcze większe. Podobno tego dnia przesypało się przez naczynie hazardu bardzo dużo dziesiątków tysięcy rubli, których na szczęście naszym zafantowanym we wszystkich lombardach „gentlemanom“ nie brak.

Średniowieczny wróżbita prawdopodobnie znalazłby w szczególnym układzie gwiazd przyczynę tegorocznych niespodzianek sportowych i objaśniłby: dlaczego niemcy pokonali naszych „championów“ w wyścigu kalisko-warszawskim; dlaczego Kalwarya stała się istotną Kalwaryą dla koni; jakie zło w tej morderczej gonitwie pędziło jeźdźców do szalonego biegu, podczas gdy oni uroczyście zapewniają, że jechali wolno; czemu pierwszy z naszych „mistrzów“ rowerowych został aż dwukrotnie prześcignięty przez słabszych od niego współzawodników. Wszystko są to wypadki niezwykłe, tajemnicze, które — jak rzekliśmy — chyba astrolog mógłby wytłomaczyć, a które my, w braku odpowiedniej umiejętności, tylko z bojaźliwą czcią stwierdzamy.

Niemoralne pretensye.

Hazard, uprawiany w totalizatorze wyścigów konnych, ma swoją odwagę. Ile razy tylko gracze dostrzegą jakąś nieprawidłowość w wypuszczeniu lub biegu koni, natychmiast protestują i wnoszą skargi do sądu. Znowu rozegrała się jedna ze spraw tego rodzaju. Nie wspominalibyśmy o niej, gdyby adwokat Towarzystwa wyścigów, J. M. Kamiński, nie złożył przed sądem pewnego szczerego wyznania, które zasługuje na zaznaczenie. Nie trzeba — rzekł on — wyścigów konnych mieszać i utożsamiać z totalizatorem. „Akcya (sądowa) o nagrodę, przez właściciela konia na wyścigach zdobytą, jest zawsze dobra, akcya o zakład w totalizatorze — nigdy. Dochód z kart, tj. procent od gry np. w Towarzystwie wioślarskiem, może być użyty na regaty, a przecież sama gra i jej rezultat nie może być przedmiotem sprawy sądowej.“ Wiadomo, co „nie może być przedmiotem sprawy sądowej“: należność, pochodząca ze źródeł nie dość czystych moralnie. Przełożywszy tedy twierdzenia szanownego obrońcy na język jeszcze większej szczerości, otrzymujemy następujący wywód: Towarzystwo, zastrzegając się przeciwko ścisłemu łączeniu go z totalizatorem i stawiając jego działalność po za granicami aktów moralnych, tj. mogących wytwarzać pretensye przed sąd dopuszczalne i prawnie uzasadnione, przyznaje samo, że ów totalizator jest urządzeniem, pozbawionem cech etycznych i że ono, gardząc nim, utrzymuje go wyłącznie dla dochodu. I oto staje przed nami rzecz jasna i naga, która nasuwa tylko jedno pytanie z jedną odpowiedzią: czy jednostce lub stowarzyszeniu wolno i wypada pomnażać swe korzyści środkami niemoralnymi? Dwu zdań tu być nie może, a jeśli mimo to Towarzystwo wyścigów konnych nie chce wyrzec się swego mętnego źródła, z którego czerpie „czyste“ zyski, to doprawdy dziwić się należy, iż ono poprzestaje na tym jednym strumieniu i nie wprowadza innych. Ach, ileż by ono jeszcze mogło wytworzyć sobie „instytucyj,“ również dających dobre dochody, również niemających nic wspólnego z wyścigami i również niemogących być przedmiotem dochodzeń sądowych! Zresztą, kto wie, co czas przyniesie.

Podwójna buchhalterya.

Otrzymujemy następujący list od — księdza:

„Znaczna większość naszych dziennikarzy ma zawsze pełne usta słów pobożnych i gdyby wierzyć tym słowom, należałoby przypuścić, że prasa warszawska mogłaby sama złożyć i corocznie składa najmniej jedną kompanię częstochowską. Tymczasem kto miał sposobność bliżej poznać owych świętoszków, wie, że oni nie zachowują ani świąt, ani postów, nie uczęszczają do kościoła i do spowiedzi, wogóle, zaledwie przestrzegają w życiu tych przykazań, bez których żaden obywatel społeczeństwa bezpiecznie obywać się nie może. Jak daleco trzymają się zasady: *das Wasser predigen und den Wein trinken*, przekonywa wysoce charakterystyczny fakt, że na tylu pobożnych redaktorów i literatów, dotąd jeden p. E. Jankowski odbył pieszą pielgrzymkę do Częstochowy (dwaj inni zrobili to dla studyów obyczajowo-psychologicznych). Ten człowiek jest rzeczywiście religijnym, konsekwentnym i szczerze kochającym swoją wiarę. Ale co powiedzieć o tych „podwójnych buchhalterach,“ noszących na sobie bigoteryjny wierzch z libertyńską podszewką i ciągle zapominających o przestrodze Chrystusa, że „wiara bez uczynków jest martwa“? Im się zdaje, że szary tłum tak samo może ich wyręczyć w modlitwie, jak w czyszczeniu butów.“ *X. T.*

I cóż panowie na to?

„Przezorność.“

Towarzystwo tej nazwy na ogólnem zebraniu swych członków ujawniło kilka pouczających cyfr ze swej działalności. Przedowszystkiem wykazują one wielką przewagę ubezpieczeń zbiorowych (robotników w fabrykach, służby folwarcznej itd.), które obejmują 5.084 osoby z kapitałem 5,500.000 rs., nad jednostkowemi, które przedstawiają zaledwie 74 osoby z kapitałem 5,967 rs. Szczerze mówiąc, bardziej nam chodzi o pierwsze, niż drugie, gdyż tamte dotyczą najuboższej klasy ludzi i wykazują rozszerzenie się uczuć miłosierdzia, czy obowiązku śród tych, którzy o niej pamiętać winni. Niestety, ubezpieczenia służby folwarcznej są dotychczas bardzo rzadkie. Ziemianie, którzy — jak wiadomo — są nieutulonymi elegistami, albo tłomaczą się niemożnością, albo okazują zupełną obojętność, albo — co gorsza — potępiają nawet te ofiary, jako „demoralizujące“ lud, chociaż powodów i dowodów tej demoralizacyi domacać się w ich rozumowaniu trudno. Rzeczywiście służba folwarczna w okolicach nadgranicznych, podległych emigracyi, lub w pasie większych miast zarażona ich niemoralnymi wpływami, nie zagrzewająca nigdy długo miejsca, przesuwająca się ciągle ruchomemi falami przez dwory, mniej zasługuje moralnie na opiekę i często ją uniemożliwia w formie stałej asekuracyi; ale w kręgach bardziej oddalonych od ognisk złego, gdzie pozostaje na miejscu przez długie lata, ubezpieczanie jej jest możliwe i konieczne, a wyjątkowo tylko bywa stosowane.

Jak zwykle.

Gazeta lubelska donosi, że licytacya ogromnych dóbr Lubartowskich, wystawionych na sprzedaż przez Bank państwa, nie przyszła do skutku z powodu braku konkurentów. Nie przybyli na nią ani przedstawiciele możnej arystokracyi, ani świata finansowego. Według wypróbowanego oddawna rachunku prawdopodobieństwa, kupi te dobra ktoś, kto nam da sposobność zagrania na starych skrzypcach starej piosenki o przechodzeniu ziemi w obce ręce. Wtedy zaczniemy narzekać, rozdzierać szaty, płakać, ba! nawet wymyślać niepożądanemu nabywcy — za co? Za to, że nasi panowie albo nie poznali się na wartości owych dóbr, albo, zajęci wyścigami, nie mieli czasu ich obejrzeć, a spekulant miał rozum i czas. Przed kilku laty przeszedł w posiadanie takich spekulantów majątek, który długo i daremnie wtykano rozmaitym bogaczom, a który samym lasem bukowym odrazu zwrócił swoją cenę. Gdy o tem doniesiono jednemu z naszych możnowładców, odrzekł gniewnie: „A dyabli wiedzieli, że tam jest las bukowy!“ Tymczasem o tem wiedzieli nie dyabli, ale zwyczajni warszawscy dyskontowicze, którzy „potrzebują mieć swoje 30% od kapitału.“ Tak to u nas zwykle bywa.

Na ostatniem zebraniu członków sekcyi rolnej p. Chaniewski zdawał sprawę z prac delegacyi nawozowej nad próbami superfosfatów w uprawie pszenicy. Otóż 105 ziemian objawiło *gotowość* przeprowadzenia doświadczeń, 70 *wzięło* do nich od delegacyi nawóz sztuczny, a 35 *nadesłało* sprawozdania. Tak u nas zwykle bywa. Dodać tu trzeba, że jeśli ktoś zrobi zarzut naszym ziemianom, że za mało umieją, że zaniedbują naukowej strony gospodarstw, że tkwią w rutynie, natychmiast słyszymy: „Panu od zielonego stolika przyśniły się dawne ubiegłe czasy i swoje przywidzenia bierze za rzeczywistość.“

Corso.

Chyba ten wypadek nie zdarzył się nigdy w świecie, ażeby jakiekolwiek naśladownictwo dorównało oryginałowi. Daremne są wszelkie wysiłki i starania; natura, jak gdyby chcąc zachować wspaniałą swoją zdolność tworzenia ciągłej rozmaitości, nie dała człowiekowi mocy robienia udatnych kopij. Najdowodniej przekonywamy się o tem my, którzy żyjemy

w ustawicznem naśladowaniu obcych pomysłów. Śród narodów południowych, urządzających swoje święta i rozrywki pod gołem niebem, kochających od dzieciństwa kwiaty, hodujących je ze szczególnem zamiłowaniem, narodził się zwyczaj zabaw kwiatowych, w których rzeczywiście wszystkie żywioły społeczne, uniesione poezyą życia, mieszają się z sobą, jak gdyby we wspólnem upojeniu wonią i barwami. Otóż takie „corso" postanowiliśmy przenieść na swój grunt i ze swoją krwią pół-rybią, ze swoją obojętnością dla kwiatów, uprawianych skąpo nie dla ogólnej potrzeby, ale dla próżności zbytku, ze swojemi ściślemi odgraniczeniami kast, chcieliśmy stworzyć kopię szału włosko-francuskiego. Naturalnie wyszło po raz już drugi z tej zachcianki widowisko blade, martwe, sztywne, w którem nie było ani bogactwa kwiatów, ani zapału, ani szczerego oddania się chwili, w którem panowie rzucali damom do powozów bukieciki z mdłymi uśmiechami, odbierając od nich takież bukieciki i takież uśmiechy, w którem powozy nieco przystrojone kwieciem przesuwały się maryonetkowo śród gapiących się tłumów, w którem wreszcie polne bławatki zajmowały plan pierwszy, gdyż ich Marysia mogła dla państwa ze wsi nazbierać darmo, a państwu z miasta sprzedać tanio. To też największą ozdobą tego „corsa" był jego dochód, przeznaczony dla ubogich.

Po egzaminach.

Egzaminy skończone. Dworce dróg żelaznych zaroiły się granatowymi mundurkami filologów i ciemno-zielonymi realistów, z pod czapeczek wyglądają twarzyczki, przybladłe wprawdzie nieco i zmizerniałe od wyczerpującej pracy w ciągu całego roku szkolnego, a zwłaszcza w ciągu ostatniego miesiąca, ale młode te główki opromienia dzisiaj radość niezwykła, w bystrych i żywych oczętach maluje się zadowolenie i duma. Z każdej prawie twarzy wyczytać możesz myśl jedną: „Zdałem egzamin, jadę z promocyą na wakacye!"

Wakacye! Ileż ten wyraz czarodziejski mieści w sobie promiennych rojeń i nadziei! ile uroku dziwnego zawiera się w nim dla kilkunastoletniego dziecka, stęsknionego przy pracy, przechodzącej częstokroć jego wątłe siły, do swobody i zabawy, do świeżego, czystego powietrza, do cudnej woni lasu i świeżo skoszonych łąk, do kąpieli w złocistych promieniach słońca i w srebrnych falach rzeczułki!

Lecz nie wszystkie twarze promienieją zadowoleniem i szczęściem, nie wszystkie serca biją radośnie na myśl o rozpoczynających się wakacyach. Wśród wesołego tłumu „promowanych," gdzie niegdzie spotykasz główkę spuszczoną, zwłaszcza oczy, twarz smutną i więcej jeszcze od innych przybladłą. To są biedacy, od których los-figlarz odwrócił się w tym roku niemiłosiernie. Zajrzawszy do ich cenzurek, wyczytalibyśmy w nich krótki, ale wiele mówiący wyrok: „Zostawiony na rok drugi w tej samej klasie."

Dla nich myśl o wakacyach nie kojarzy się z wesołym obrazem. Na wstępie do rodzicielskiego domu spotka ich surowe, czasem groźne oblicze ojca i więcej jeszcze boleści sprawiające spojrzenie matki. Zamiast radosnego powitania, obleje ich potok cały narzekań i wymówek, a i potem w ciągu wakacyj nie upłynie dzień jeden, aby o ich uszy nie obiło się w formie wymówki lub przytyku fatalne zdanie: „Nie dostałeś promocyi, próżniaku!" Zatruje im ono każdą radość dziecinną, odbierze dobry humor, apetyt, swobodę, krępować będzie każdy weselszy wybryk dziecka, spędzi z twarzy każdy uśmiech zadowolenia i szczęścia.

I mało kto zrozumie, ile w tem wszystkiem mieści się gorzkiej ironii. Rodzice, postępując w podobny sposób z dzieckiem, nie chcą zwrócić uwagi na to, że przy dzisiejszym systemie egzaminów dziecko wyjątkowo chyba nie dostaje promocyi z własnej winy, że najczęściej jest to z jego strony wynikiem niemożności podołania ciężkim wymaganiom szkolnym, a czasem poprostu — zrządzeniem ślepego wypadku. Dziecko takie, które i samo cierpi przecież dosyć i, zranione tak dotkliwie w miłości własnej, aż nadto surową poniosłoby karę, gdyby nawet o winie z jego strony mogła tu być mowa,— nieraz zasługuje raczej na serdeczne współczucie ze strony najbliższych, niż na wymówki, gniew i prześladowanie. Nie zapominajmy zresztą, że pozostawienie ucznia na rok drugi w tej samej klasie jest częstokroć dobrodziejstwem dla niego, że dzięki temu jedynie może on w dalszym ciągu skończyć szkoły, nie wyczerpując przedwcześnie sił młodych, nie zużywając naprożno energii, która na całe życie wystarczyć mu powinna. *W. B.*

Naiwne pytanie.

Ktoś kupił sobie *Szkice i rozprawy* Macaulaya w tłomaczeniu Stanisława Tarnowskiego (Kraków, 1893) i znalazł w przekładzie następujące kwiatki stylu i gramatyki:

„W morderstwach *rozkoszował* jak w Bacchanaliach."

„Barrere zupełnie jak Chloe *był* niewierny i *był* dla każdego, ale *był* znowu jak Chloe *stały, jak długo posiadany*."

„A sam rzeczywisty sprawca w zupełnem bezpieczeństwie *używał z rozkoszą na strachu* i udręczeniu Robespierre'a."

„Nie wiem doprawdy, czy udało się kiedy ludzkiej istocie natłoczyć tyle złego w *przestrzeń trzystu sześćdziesiąt (?) pięciu dni*."

I tak dalej.

Ów ktoś, przytoczywszy długą litanię podobnych dziwolągów, kładzie nad nimi w *Kuryerze warsz.* tytuł: „Chyba nie Tarnowski.."

A to właśnie Tarnowski. Kto nie ulegał hypnotyzmowi jego prelekcyjnych min, kto nie wyrzekł się swego sądu dla bezmyślnych pokłonów, odznaczających naszą opinię drukowaną, ten się nie zadziwi owem odkryciem, bo wie, że p. S. Tarnowski nigdy poprawnie po polsku pisać nie umiał.

W DALI.

Kalisz. W gronie obywateli Kalisza i hodowców koni w okolicy powstał zamiar urządzania corocznie jednego lub dwóch jarmarków na konie w Kaliszu, który wysunięty najdalej na zachód kraju, zbliżony do sieci kolei żelaznych za granicą, mający przytem odpowiednie pomieszczenia, ma lepsze pod tym względem widoki powodzenia, niż Łowicz lub Zduńska Wola.— Na majowej licytacyi Towarzystwo kredytowe ziemskie sprzedało za zaległe raty Oleśnicę w powiecie słupeckim za 57,050 rs., Giwartów w pow. słupeckim za 29,000 rs. i Morzyce w pow. kolskim. — Podług zapewnień wiarogodnych, budowa drogi żelaznej z Ostrowa do Skalmierzyc będzie rozpoczęta z chwilą ukończenia żniw. — „Prosna," jednodniówka na dochód kaliskiego towarzystwa dobroczynności, dawno zapowiadana, nareszcie wyszła z druku. — Piętnastu obywateli gub. kaliskiej zawarło umowę z Towarzystwem „Przezorność" w celu ubezpieczenia kapitału około 15,000 rs. dla 80 oficyalistów i służby rolnej. Większość umów zawarto w ten sposób, że suma umówiona ma być wypłacona samemu oficyaliście, skoro on 55 lat ukończy, a w razie wcześniejszej śmierci takiego oficyalisty, natychmiast pozostałej po nim rodzinie. Pozostałe umowy, przeważnie o ubezpieczenie oficyalistów starszych, naznaczają wypłatę kapitału do rąk oficyalisty w razie dożycia do lat 65 i jednocześnie zapewniają, tak samo jak poprzednie, wypłatę tegoż kapitału rodzinie oficyalisty, na wypadek wcześniejszej jego śmierci.

Mińsk. Hodowla bydła w gub. mińskiej jest dość rozpowszechnioną, choć hodowane są przeważnie rasy miejscowe. W r. z., według sprawozdania urzędowego, było ogółem 2,192,580 sztuk bydła, więcej niż w roku poprzedzającym o 75,052. Z tej liczby na miasto przypada 33,302, na wsie 2,159,278. Bydła rogatego liczono 753,477, świń 518,616, koni 288,639, owiec cienkowełnistych 48,076, kóz 29,850. Średnio jeden koń przypada na 6 — 7 dusz, jedna sztuka bydła na 2 — 3 dusz. — Rybołówstwo także przynosi spore zyski rolnikom. W pow. mozyrskim, nowogródzkim i pińskim z rybołówstwa żyje wiele rodzin. Ryby wysyłano są do Słucka, Bobrujska, Mińska, Wilna i Warszawy. — Z Polesia donoszą, że ziemianie tamtejsi, zniechęceni stagnacyą obecną, postanowili zredukować dość znacznie przestrzeń obsiewanych pól, zamieniając je na łąki i pastwiska. Równomiernie postanowiono zwiększać, o ile się to da, rozmiary hodowli inwentarza żywego, w ostatnich czasach, mówiąc nawiasem, dość zaniedbanej. Ceny zboża na Polesiu mińskiem są jeszcze niższe, niż w innych miejscowościach gub. mińskiej. O zamiarze ograniczania produkcyi ziarna nadchodzą wiadomości i z innych miejscowości, między innemi z gub. wileńskiej i wołyńskiej. Obecną zwyżkę cen zboża rolnicy tamtejsi uważają za czasową i niedługotrwałą.

Wilno. Magistrat Wilna postanowił czynić starania o pozwolenie otwarcia średniej szkoły technicznej, nie zaś specyalnie rolniczej, jak to proponował wileński okrąg naukowy. Na budowę gmachu dla tego zakładu miasto ofiarowuje 1½ dzies. ziemi i rs. 100,000. Do szkoły mają być przyjmowane dzieci bez różnicy wyznania; pierwszeństwo mieć będą pochodzący z gub. wileńskiej. — Dla budowy przez Towarzystwo dróg żel. dojazdowych drogi ze Święcian do Głębokiego, postanowiono dokonać wywłaszczenia gruntów na podstawie istniejących ogólnych przepisów ustawodawczych. Na linii tej, od Święcian za Łyntupy, kursują już pociągi robocze. — Wystawa gospodarczo-przemysłowa odbędzie się w dniach 13 — 22 września r. b. — Podług sprawozdania kontroli państwa, rzeczywiste dochody i wydatki dziewięciu gubernij północno i południowo-zachodnich w r. 1892 wynosiły: dochody 110,797,608 rs. 25 kop., wydatki 82,112,126 rs. 13 kop. Ponieważ ludność pomienionych gubernij wynosiła w tymże roku 17,747,001 mieszkańców (podług sprawozdania departamentu dochodów niestałych), na jednego więc mieszkańca przypadało 6 rs. 24 kop. dochodów, a 4 rs. 62 kop. wydatków. Dla samej gubernii wileńskiej dochody wyniosły 10,786,474 rs. 81 kop., wydatki 14,583,410 rs. 81 kop.; ludność wynosiła 1,414,184 mieszkańców, na każdego więc z nich przypadło dochodów 7 rs. 63 kop., wydatków 10 rs. 31 kop. — Kapituła wileńska wybrała wskutek śmierci biskupa Audziewicza na administratora dyecezyi biskupa Ludwika Zdanowicza.

Petersburg. Na wystawie drukarskiej w oddziale polskim dnia 16-go b. m. przyznano następne odznaczenia: Wielki medal złoty Tow. papierni „Soczewka." Mały medal złoty Tow. papierni „Mirków." Wielki medal srebrny: Gebethner i Wolff; fabryka machin drukarskich Fajans, Albert i Comp.; drukarnia Sierpińskiego; litografia Główczewskiego; litografia Maksym. Fajansa; Józef Holewiński, rytownik na drzewie; Ignacy Łopieński, rytownik na miedzi; B. Hirszowicz, plakaty wyciskane; Struve & Com., ozdobne passe-partout. Mały medal srebrny: L. Drauman, fabryka blachy; M. Kohn („Liberty") litografia; S. Orgelbranda Synowie, drukarnia; Emil Skiwski, drukarnia; Granowski i Sikorski, drukarnia i fototypia; T. Paprocki i Sp., księgarnia. Medal bronzowy: O. Fleck, litografia; Franaszek, papiery chromowe, Gins Al., drukarnia; Jermułowicz i Bergman w Sosnowicach, roboty-litograficzne; Leszczyński i Moryc, fabryka atramentu; Kohn Henryk, litografia; Szyller G., papier listowy ozdobny; Unger Gracyan, cynkotypy; Karpiński i Leppert, farby drukarskie; Weinkrantz Z., roboty grawerskie; J. Klein, Łoskoczyński, Nicz Edward i Zajkowski, rytownicy na drzewie. Listy pochwalne: Ed. Koliński, wydawnictwa ludowe: P. Noskowski, drukarnia;

M. Bernsztein, proszek introligatorski. — Dnia 9-go b. m. odbył się na wystawie drukarskiej wyścig zecerów, w którym uczestniczyło 19 pracowników drukarni petersburskich. Jeden z nich w ciągu 1½ godziny złożył 3,003 litery, nagrodę wszakże pierwszą otrzymał inny, mniej pośpiesznie (2,805 liter) składający zecer, p. Wasiliew, za dokładność techniczną i gramatyczność. — Towarzystwo miłośników przyrodoznawstwa i etnografii wysyła latem kilku swych członków do rozmaitych miejscowości państwa. Jadą między innymi pp. Elkind do gub. warszawskiej, Downar-Zapolski do gub. grodzieńskiej i Porzeziński do gub. suwalskiej i kowieńskiej.

SPRAWY EKONOMICZNE

Gospodarstwa rybne. Niedawno zawarto w Warszawie kontrakt spółki między Ignacym Sokołowskim, wł. dóbr Grabowo Sulimy, a inżenierem Oskarem Michalewskim, celem zaprowadzenia i eksploatacyi sztucznego gospodarstwa rybnego. Sokołowski w tym celu oddaje dobra swoje Ciszewo, w pow. szczuczyńskim, gub. łomżyńskiej, gdzie na przestrzeni 1,600 morgów będą zaprowadzone stawy kupieckie, oprócz oddzielnych tarlisk i wyrostów. Będzie to największa w kraju sztuczna hodowla rybna, a jedna z największych w świecie. Koszt przedsiębiorstwa wyniesie około 100,000 rs. Roboty ziemne już rozpoczęto. — W Szpanowie, dobrach Michała ks. Radziwiłła, od lat kilku zaprowadzono racyonalne gospodarstwo rybne na 84 dziesięcinach nieużytków; jedna dziesięcina jest przeznaczona do składania ikry, 17 na właściwą hodowlę; 44 dzies. zajmują karpie, 22 dzies. inne gatunki. Są też stawy urządzone do przezimowywania przychówku. Wody dostarcza Ujście, dopływ Horynia. Stawy urządził ichtyolog A. Słupski kosztem 10,000 rs. Przeważnie są hodowane karpie lustrzane, królewskie i morawskie; przybywają one między innemi i na targi warszawskie. Czysty dochód wynosi przeszło 1,000 rs. W ostatnich czasach ks. Radziwiłł do współki z ks. Lubomirskim zajął się urządzeniem takiegoż gospodarstwa w Słomkach o 15 wiorst od Szpanowa.

— Właściciele gorzelni w gub. południowo-zachodnich złożyli ministrowi skarbu podanie o skup od nich prawa propinacyjnego. Wartość tego prawa wnioskodawcy szacują na 30 mil. rs.

— Jak pisze *Warsz. Dniewnik.*, z powodu bliskiego wprowadzenia monopolu wódczanego do gub. południowo-zachodnich, liczni kupcy kijowscy przenoszą do Warszawy swe handle wódczane.

— Udzielono koncesyi Towarzystwu cukrowni Młodzieszyn, z siedliskiem zarządu w Warszawie i kapitałem 750,000 rs. w akcyach po 1,000 rs.

— Towarzystwo rolnicze witebskie zawiązuje udziałowe stowarzyszenie rolnicze gubernii witebskiej w celu popierania przemysłu rolnego i drobnego miejskiego, zarówno w kierunku obniżenia kosztów produkcyi, jak zapewnienia korzystniejszego zbytu produktów wymienionych gałęzi przemysłu.

— Z powodu ogłoszenia Banku szlacheckiego o przymusowej sprzedaży 1,930 majątków, obciążonych pożyczką tego Banku, *Nowosti* zastanawiają się nad smutnym stanem rosyjskich szlacheckich obywateli ziemskich. Sprzedawane są przeważnie majątki większe i najwięcej w guberniach urodzajnych. Na czele listy stoi gub. kurska, gdzie sprzedaje się 156 majątków, dalej gub. półtawska, orłowska, rezańska, tambowska, penzeńska, nadwołżańskie i Besarabia.

— Stosownie do art. 148 swego statutu, Bank państwa, otrzymując depozyty w złocie od osób prywatnych i od zarządów górniczych, wydaje stosowne kwity, które obecnie, wskutek Najwyżej zatwierdzonego w dniu 15 maja zdania Rady państwa, będą miały prawo obiegu na równi z monetą złotą.

— Jak donoszą telegramy z Petersburga, rozporządzenie o zwinięciu oddziału Banku państwa w Piotrkowie cofnięto.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Orzeczenie senatu. Na podstawie *Warsz. gub. wied.* tutejsza *Gazeta sądowa* podaje ważne orzeczenie senatu w sprawie, która niejednemu nastręczyć się może. Ze skargi właściciela dóbr Plecka Dąbrowa, T. Stokowskiego, na decyzyę urzędu gubernialnego warszawskiego do spraw włościańskich, wynika kwestya: czy właściciel dóbr, obciążonych na rzecz włościan służebnością leśną, ma prawo zobowiązać ich do wykonania jej na innym swoim majątku? Tak właśnie zdarzyło się w danym wypadku; z powodu bowiem braku w Pleckiej Dąbrowie lasu, odpowiedniego do zakresu praw serwitutowych włościan, p. S. wskazał im inny swój majątek — Sobotę, jako miejsce wykonywania służebności opału. Otóż senat orzekł niezgodność takiego zarządzenia z prawem obowiązującem. „Na mocy ustępu *a* rozkazu Najwyższego z d. 4 maja 1876 r. — czytamy w ukazie senatu — urzędom włościańskim nadano wprawdzie w pewnych razach władzę określania, w jaki sposób poprawić należy w naturze pogwałcone prawo serwitutu; atoli obowiązkowe, bez zgody włościan, przeniesienie jakiegobądź serwitutu z dóbr nim obciążonych od innego majątku, nie licowałoby ani z istotnem znaczeniem przepisów, zawartych w art. 2966 Post. kom. urządz., ani z wagą, jaką ustawa do wszelkich wpisów w tabeli likwidacyjnej przywiązuje. Takie przeniesienie użytkowania służebności, równające się przymusowej ich zamianie, nie może być uznane za dopuszczone przez ustawę poprawienie in natura zrządzonej szkody lub straty.“ Z tych zasad senat uznał zasadność oskarżonej przez właściciela majątku odmownej decyzyi urzędu do spraw włościańskich i skargę pana S. bez skutku pozostawił.

Nowy podatek. *Prawit. Wiest.* ogłasza w Nr. 119 Najwyżej zatwierdzoną 22 maja (3 czerwca) r. b. uchwałę Rady państwa „o opodatkowaniu w wysokości 5% dochodu od wkładów, lokowanych w domach bankierskich i kantorach wekslowych“:

1) W uzupełnieniu p. I art. 455 ustawy o podatkach bezpośrednich (T. V Zbioru Praw, wyd. w r. 1893), uchwalić: „Podatek od dochodu od kapitałów pobiera się w wysokości 5% od dochodu, jaki przynoszą kapitały, składane na rachunek bieżący i inne wkłady procentowe w domach bankierskich i kantorach wekslu.“

2) W art. 459 tej samej ustawy po wyrazach „instytucye kredytowe“ dodać wyrazy: „domy bankierskie i kantory wekslu.“

3) Prawo niniejsze wprowadzić w wykonanie, poczynając od 1 (13) lipca r. b. i poddać opłacie 5%-ej wszelkie dochody, jakie od owej daty przyniosą kapitały i wkłady wyżej wymienione.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Na posiedzeniu zarządu Tow. opieki nad zwierzętami d. 12 b. m., po ożywionych rozprawach o skutkach wyścigu dystansowego, postanowiono: pociągnąć do odpowiedzialności sądowej tych uczestników wyścigu, których konie, z powodu znęcania się nad nimi, padły, jeżeli uczestnicy dobrowolnie nie złożą ofiary na projektowaną lecznicę i przytułek dla zwierząt; 2) zwrócić się za pośrednictwem rosyjskiego Towarzystwa do właściwego ministeryum o zabronienie na przyszłość urządzania wyścigów dystansowych w podobnych warunkach, jedynie w celu przekonania się o wytrzymałości konia, nie zaś ich chyżości, do czego istnieją wyścigi na krótkie dystanse; 3) wreszcie kwestyę tę podnieść na projektowanym w roku przyszłym w Peszcie kongresie międzynarodowym Towarzystw opieki nad zwierzętami.

— Na ostatniem posiedzeniu członków wydziału warsztatów naukowo-rzemieślniczych dla sierot chłopców warsz. Tow. dobroczynności im. Władysława Kronenberga, postanowiono w ciągu przyszłego miesiąca zwolnić chłopców od zajęć warsztatowych i na czas ten wysłać ich na wieś; uchwalono też wprowadzenie nauki śpiewu. Stan rachunkowy tego zakładu dobroczynnego za kwiecień i maj wykazał w dochodach rs. 2,545 k. 25 i w wydatkach rs. 2,257 k. 79.

— Zgodnie z odwołaniem się Instytutu technologicznego w Petersburgu, zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zezwolił na przyjęcie na czas wakacyj letnich 20 studentów do zajęć praktycznych w warsztatach głównych, remizach i na parowozach.

— Towarzystwo ogrodnicze otrzymało od rodziny, pozostałej po dr. Tytusie Chałubińskim, 500 odmian mchów tatrzańskich, oraz kosztowne mikroskopy. Dr. Chałubiński, jak wiadomo, zajmował się przez długie lata badaniem mchów, rosnących w ulubionych przez niego Tatrach.

— Dnia 7 b. m. odbyło się doroczne zebranie ogólne uczestników kasy wsparcia podupadłych lekarzy, oraz ubogich wdów i sierot po lekarzach, istniejącej od r. 1857 przy warsz. Tow. lekarskiem. Ze sprawozdania zarządzającego kasą, dr. Rogowicza, dowiedzieliśmy się, iż w końcu r. z. było 723 członków (o 9 więcej, niż w końcu r. 1894); fundusz żelazny wynosił 35,011 rs. (więcej o 650); z funduszu ruchomego wydano rs. 5,811, pozostało na r. b. 1,387 rs.; wsparć udzielono ogółem 6,455 rs.; zaległości w nieopłaconych składkach wynosiły z końcem r. z. 880 rs.

Szkoły. W dniu 6 b. m. wyszło rozporządzenie o utworzeniu nowego typu szkół rzemieślniczych, tak zwanych „niższych szkół rzemiosł,“ przeznaczonych do nauki nietylko stolarstwa i ślusarstwa, jak w szkołach typu normalnego i w szkołach uczniów rzemieślniczych, lecz i innych rzemiosł, np. introligatorstwa, szewctwa, siodlarstwa, krawiectwa itd. Wzmiankowanym szkołom postanowiono nadać najprostszą organizacyę, która dawałaby możność otwierania ich zarówno w miastach, jak i na wsiach, gdzie kształcące się dzieci włościańskie mogłyby uczyć się, nie wychodząc ze zwykłych warunków życia wiejskiego. Oprócz religii, nauki czytania i pisania, oraz rachunków w zakresie kursu szkół wiejskich jednoklasowych, wykładane tam będą praktycznie rzemiosła w związku z technologią, rachunkowością, rysunkiem ręcznym i technicznym; w szkołach, urządzanych we wsiach i osadach, wykładaną będzie również nauka naprawy i wyrobu narzędzi rolniczych. Od nowo wstępujących będzie wymagane złożenie świadectwa z ukończenia kursu szkoły elementarnej, albo umiejętność czytania i pisania, oraz złożenie odpowiedniego egzaminu. Po ukończeniu trzyletniego kursu nauki, uczniowie niższej szkoły rzemieślniczej mogą być pozostawiani przy szkole jeszcze w ciągu roku, w celu praktycznego wykwalifikowania się w obranem rzemiośle. Etat niższej szkoły rzemieślniczej wynosi 2,770 rs.

— Wkrótce będą otworzone szkoły telegraficzne w Radomiu, Kielcach i Strzemieszycach, kosztem Towarzystwa dr. żel. Dąbrowskiej. Do szkół będą przyjmowani w wieku od lat 16 nietylko synowie urzędników kolejowych, lecz i osób postronnych. Za całą naukę ucznia płacić będzie nauczycielom Towarzystwo kolei po rs. 10. Agenci służby ruchu, niemniej i konduktorowie do lat 40, jeżeli z własnej chęci nauczą się telegrafować i złożą odpowiedni egzamin, będą mieli prawo pierwszeństwa do awansu.

— W dniu 1 lipca p. Eleonora Kozarska otwiera w Kaliszu zakład freblowski dla małych dzieci.

— Na rektora uniwersytetu lwowskiego wybrano w tych dniach dr. Balzera.

Zdrowie publiczne. Przy departamencie lekarskim ministeryum spraw wewnętrznych utworzono komisyę, której zadaniem ma być opracowanie ustawy normalnej dla zakładów leczniczych, przeznaczonych dla alkoholików.

Koleje i komunikacye. Dnia 13 b. m. upłynęło lat 50 od wyruszenia pierwszego pociągu osobowo-towarowego z Warszawy do Grodziska koleją Warszawsko-Wiedeńską.

Zjazdy. D. 29 b. m. rozpocznie się w Paryżu piąty międzynarodowy kongres więzienny. Honorowym prezesem jest Jerzy Leygues, minister spraw wewnętrznych. Wszystkie państwa europejskie, Stany Zjednoczone Ameryki północnej oraz Japonia będą miały swoich przedstawicieli; liczba ich jest przewidywana na kilkuset. Kongres potrwa dni 10.

— Towarzystwo ginekologiczno-akuszeryjne w Bordeaux z powodu wystawy urządza w d. 8 sierpnia r. b. zjazd ginekologów, akuszerów i pedyatrów. Na jednego z prezesów honorowych tego zjazdu zaproszono dr. Neugebauera z Warszawy.

Wypadki. W Parkersburgu, w stanie północno-amerykańskim Wirginia, eksplodowała nitrogliceryna

dziesięć domów i fabryka zniszczone; 200 osób zginęło.

Zmarli. Mikołaj Bunge, b. profesor ekonomii politycznej, statystyki i prawa polit., po trzykroć rektor uniwersytetu kijowskiego, od r. 1881 do 1886 minister skarbu, a potem prezes komitetu ministrów; ur. w r. 1823 w Kijowie. Większą część życia poświęcił pracy naukowej, której owocem są liczne dzieła z zakresu ekonomii i statystyki.

— Filip Flamm, b. mecenas przy senacie, adwokat przysięgły, autor wielu rozpraw prawnych, znawca prawa handlowego, przeżywszy lat 67.

Odpowiedzi Redakcyi.

Trzydziestoletniej w K. Czy polki są przyjmowane jako telegrafistki przy kolei Syberyjskiej i na jakich warunkach, może Pani za naszem pośrednictwem objaśni ktoś znający stosunki tamtejsze, przeczytawszy to pytanie. My nie wiemy.

Panu C. D. w Warszawie. Niepodobna nam prostować wszystkich błędów tego pisma. Oprócz „*Końska* w gubernii radomskiej," dostrzegł Pan tam zapewne „Ciechanów w gub. grodzieńskiej" itp. Dla łowienia takich geograficznych żabek musiałby ciągle po tej łące chodzić osobny bocian.

P. St. Kopcz. 1) Sprawę taryf wyczerpuje broszura p. A. Suligowskiego o tym przedmiocie; 2) o rozwoju przemysłu łódzkiego nie ma pracy wyczerpującej; 3) w kwestyi przesilenia rolnego artykuły z „Encyklopedyi rolniczej": *Handel bydłem*, *Handel zbożem*, *Konkurencya*, oraz Blocha o odłużeniu ziemi.

— Zarząd Wystawy Hygienicznej (1896 r.) niniejszem zawiadamia, że biuro Wystawy (wydział budowlany w Magistracie) otwarte zostało dla interesantów. Program Wystawy, regulamin i blankiety deklaracyjne można otrzymywać w biurze Wystawy w godzinach 5—7 po południu, oprócz niedziel i dni świątecznych.

Staraniem Spółki Nakładowej wyszedł z druku:

ZARYS
Najnowszej Literatury Polskiej
(1864—1894)

Dra Piotra Chmielowskiego.

Str. XX i 484.

Cena rs. **2** kop. **50**, z przesyłką rs. **2** k. **80**.

OGŁOSZENIA.

Nakładem „Prawdy" wyszła

PSYCHOLOGIA DZIECKA

Dr. Med. L. Wolberga,

Cena rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 20. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

GAZETA POLSKA

największy dziennik polski.

Wychodzący w Warszawie przy współudziale doborowych sił pisarskich.

Drukuje w odcinku nową wielką powieść

HENRYKA SIENKIEWICZA

pod tytułem:

„QUO VADIS"

Nowi abonenci „Gazety Polskiej," przybywający od 1-go Lipca, otrzymują numera z początkowemi felietonami „QUO VADIS" za dopłatą rs. 1 na koszta przesyłki.

Prenumerata miejscowa wynosi: rocznie rs. 9,60, półrocznie 4,80, kwartalnie rs. 2,40, miesięcznie kop. 80, ***zamiejscowa***: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.

Adres „Gazety Polskiej": Warszawa, Warecka Nr. 14.

Agentura „Gaz. Pols." w Łodzi: przy Księgarni R. Schatke'go, ul. Piotrkowska.

Zaleca się umieszczanie **ogłoszeń w Gazecie Polskiej** ze względu na jej poczytność.

WARSZAWSKA
Szkoła Dentystyczna

Przyjęcie próśb w roku szkolnym 1895/6 na imię zarządzającego od 10/22 czerwca r. b. O szczegółach dowiedzieć się w kancelaryi Szkoły osobiście lub piśmiennie.

Nakładem HIERONIMA COHNA wyszedł zeszyt IV-ty (podwójny) znakomitego dzieła **C. Lombroso** i **G. Ferrero**

„Kobieta jako zbrodniarka i prostytutka."

Cena zeszytu IV-go kop. 60; I-go, II-go i III-go po kop. 30.

Cenniki bezpłatne.



Cenniki bezpłatne.

DRUK NAJNOWSZEJ POWIEŚCI

Bolesława Prusa

p. t. **„FARAON"**

ozdobionej szeregiem ilustracyj

Henryka Siemiradzkiego,

rozpoczął po ukończeniu powieści *Rodziewiczówny* **Na wyżynach**

Tygodnik Ilustrowany.

WARUNKI PRENUMERATY **„Tygodnika Ilustrowanego" wraz z dodatkami i premiami**: *w Warszawie*: miesięcznie kop. 67½, kwartalnie rs. 2, półrocznie rs. 4, rocznie rs. 8; *z przesyłką pocztową*: kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

Adres: **Warszawa, Krakowskie-Przedmieście, 17.**

Prospekty i numery okazowe na żądanie gratis i franco.

Bezpłatny dodatek „Prawdy"

Zasady Fizyologii

Huxleya—Rosenthala,

wyszedł w osobnej książce i jest do nabycia za cenę rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 15.

Do nabycia w Administracyi „Prawdy":

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI

(ilustrowana).

Cena zniżona: rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI

z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

Redaktor i Wydawca dr. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Іюня 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.